Nr. 37 (1444). Warszawa, 12 Września 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Do jednego z najbliższych numerów, jako dodatek książkowy na kwartał III-ci, czytelnicy nasi otrzymają początek dzieła *A. Mengera*: „**Prawo do całkowitego wytworu pracy**" — w przekładzie J. H. pod redakcją *K. Lutostańskiego.*

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Czem żyje stronnictwo?

Stronnictwa rodzą się i umierają. Czasem wytwarza je i wyrzuca na powierzchnię życia siła żywiołowa, ogarniający szerokie koła pęd do zbiorowego działania, interes chwili, walka dnia bieżącego.

Czasem tworzą się i rosną zwolna, bezimiennie, w głębinach życia — jak kolonje korali na dnie morskim.

Czasem znów bywają robione na urząd, skutkiem teoretycznego tylko uznania ich potrzeby. Takie stronnictwa rodzą się czasem martwe. Nie potrzebują umierać, gdyż nigdy nie żyły.

Niekiedy pozornie między tymi trzema kategorjami niema różnicy. Faktyczne powstanie partji przedstawia się zawsze niemal tak samo. Pewna grupa ludzi formułuje program, plan działania, określa ustrój — wybiera firmę. Jednakże ani program, ani ramy organizacji, ani rodzaj taktyki lub nazwa nie decydują o żywotności i racji bytu stronnictwa.

Wszystko zawisło od tego, jaka wewnętrzna treść wypełnia te ramy. Wiemy z doświadczenia, że może istnieć demokracja, paraliżująca demokratyzację stosunków społecznych, „realizm" polityczny, uganiający się za utopjami, mogą istnieć „narodowcy" zaprzepaszczający narodowe ideały i postępowcy, którzy ani krokiem naprzód ruszyć nie umieją we własnej działalności a stąd tem mniej pchnąć społeczeństwo na drogę postępu.

Jak dalece teoretyczne uznawanie pewnych prądów i haseł nic nie przesądza o praktycznym wcielaniu ich w życie — tego niezliczone dowody dały nam ostatnie przełomowe lata.

Nagłe przejście od akademickich dyskusji do faktycznego działania stało się próbą programów—a więcej jeszcze charakterów. Nikt prawie nie pozostał tam, gdzie był; zarówno po prawicy jak po lewicy niespodzianie zjawili się nowi przybysze, a ludzie, którzy lata całe szli razem — „w zasadzie" godząc się na jedno, nagle w praktyce stanęli przeciw sobie.

Skoro dziś w ciągu jakiejkolwiek dyskusji usłyszymy na wstępie danego przemówienia: „*w zasadzie* niemam nic przeciw temu, co tu powiedziano", możemy być z góry przekonani, że rozpoczyna się właśnie najtwardsza opozycja przeciw postawionym wnioskom.

W kwestjach akademickich wspólność zasad rozstrzyga o równoległości lub przeciwieństwie pewnych prądów — w kwestjach praktycznych, a do tych należą wszystkie sprawy polityczne, — wspólność zasad nie przesądza o niczem. Dopiero sposób stosowania w życiu ideji kierowniczych, wysnute z nich praktyczne konkluzje i wybór środków stanowią o tem, czy ludzie mogą iść razem i przy jednym warsztacie pracować.

Z tego wynika, że stronnictwo, które ma tylko program, niema właściwie nic jeszcze, a jego członkowie mogą mimo wspólnej firmy politycznej absolutnie nie mieć między sobą żadnej istotnej spójni.

Czasami zaś zdarza się wręcz przeciwnie; widzimy grupę, pracującą zgodnie, spójną, znakomicie zgraną—mimo że wśród niej panuje dość znaczna rozbieżność poglądów, w kwestjach tak zwanych zasadniczych — lecz pozbawionych w danej chwili aktualnego i żywotnego znaczenia.

Z takich grup, wprzężonych dobrowolnie do wspólnej pracy dnia dzisiejszego, w miarę jak się ich zakres działania rozszerza i na ogólniejsze pola przenosi, wyrastają najtrwalsze i najżywotniejsze organizacje polityczne. Są to właśnie owe kolonje polipów, wznoszące z dna morskiego nowe archipelagi. Gdy wytknęli sobie już pewne drogi i wypróbowali środki, a zapragną szersze i dalsze cele osiągnąć, wówczas sformułowanie programu jest dla nich tylko rzeczą dodatkową i przychodzi niesłychanie łatwo, jako teoretyczna definicja praktycznego działania. Wykazuje się wtedy, że możliwość wspólnej pracy zawdzięczali oni bądź co bądź pewnym niedyskutowanym ustnie, lecz praktycznie wyznawanym ideałom, które przyświecały ich pracy.

Dyskutowanie kwestji programowych jest zawsze symptomatem bezsilności stronnictwa lub jego rozkładu, początkiem lub wyrazem zastoju.

Jest przedewszystkiem stratą czasu. Nie warto się zgromadzać na to, by uchwalać ideały lub rozstrząsać sprawy teoretyczne, które każdy wiele gruntowniej zgłębi i wyświetli w samotności, w ciszy swej bibljoteki, sumując własne bezpośrednie doświadczenia życiowe i owoc doświadczeń cudzych w książkach zamknięty.

Człowiek indywidualnie znacznie więcej przemyśli niż w gromadzie, natomiast zawsze więcej zdziała zbiorowo. To też do działania nie do myślenia łączyć się trzeba,

a istotną spójnię między ludźmi stanowi zbiorowy czyn.

Słowo to brzmi jak komunał. Jest to również jedna z tych prawd, na które „w zasadzie" wszyscy się zgadzają, praktycznego zastosowania dla niej znaleźć nie mogąc. I tu więc po zasadniczem potwierdzeniu, następuje obalająca je opozycja w formie pytania: „Cóż zdziałać można"? „Co my jako stronnictwo uczynić możemy"?

I partja przypomina wtedy jedną z tych panienek na wydaniu, pełną wyższych aspiracji lecz daremnie szukającą „celu w życiu". Chciałaby być *czemś*; jest — niestety — tylko niczem i szuka drogi wyjścia w radach doświadczonych przyjaciółek.

Czemś można się stać tylko o własnych siłach, a nigdy przy pomocy osób trzecich.

„Celów w życiu" „pól działania„ i dla stronnictw politycznych i dla panien na wydaniu znalazłoby się więcej niż ogarnąć może życie jednego pokolenia. Z tej strony nigdy na brak skarżyć się nie można; leży on w czem innem: w anemji i apatji tych właśnie, co bezskutecznie celu i pola szukają, co chcieliby być *czemś* tylko w zasadzie, t. j. o ile by się tem stać mogli bez wysiłku, bez ofiary, bez walki.

Gdy stronnictwo skarży się na brak pola działania, to tem samem odmawia sobie bezwarunkowo racji bytu a pośrednio nawet obala swój program. Ten brak mógłby istnieć dla niego tylko wtedy, gdyby jego postulaty już były ziszczone lub conajmniej zagwarantowane przez działalność innych grup i stronnictw. Jeżeli z punktu widzenia danej partji, warunki polityczne nic nie pozostawiają do życzenia, to ona istotnie sama jest zbyteczna, o ile nie poczuwa się do obowiązku bronienia obecnego stanu rzeczy przed mogącym mu z innej strony grozić niebezpieczeństwem. W tem położeniu bywają czasem partje konserwatywne; gdy opozycja jest bardzo słabą, mogą sobie pozwolić na bezczynne trwanie.

Nigdy jednak nie da się wytłomaczyć ta skarga u partji postępowych; ich racja bytu leży bowiem w dążeniu do zmian i reform, które nigdy i nigdzie nie dokonywały się same. Innemi słowy, jeśli konserwatyści czasem mogą czekać, postępowcy zawsze muszą działać. Inaczej ich postęp jest tylko jałowym samochwalstwem.

Najczęściej lubią tłumaczyć swą bezczynność bezsilnością szczebiocząc, jak małe dzieci: „Ja taki malutki, taki słaby—nic nie mogę zrobić". Dziecko może czekać, bo jemu wystarczy jeść i trawić, spać i bawić się, aby urosnąć i sił nabrać.

Ale wzrost stronnictwa nie leży w przyrodzonym porządku rzeczy; musi on być zamierzony, wypracowany i wywalczony. Tego wzrostu żadne nie osiągnęło samym propagowaniem teoretycznego programu, bo uznanie słuszności pewnych haseł lub marzeń, jeszcze nikogo do niczego nie obowiązuje, jeszcze nie wykrzesze z człowieka tej siły, która jest niezbędna do ich zrealizowania.

Żywotność partji nie polega na sumie luźnych chceń identycznego kierunku, lecz na sumie równoległych wysiłków dla osiągnięcia pożądanej rzeczy. Tym co się na program zgadzają, nie dość przedstawić deklarację do podpisania, lecz zapytać ich, co chcą dla urzeczywistnienia programu zrobić? I nie jest bynajmniej wystarczającą na to pytanie odpowiedzią: „chcą dać 25 — lub 50 kop miesięcznie" — gdyż nawet za największą sumę zebranych tą drogą półrublówek i rubli, nie kupi się ani postępu, ani demokratyzacji społeczeństwa, ani autonomji Królestwa Polskiego, ani reformy szkolnej, czy agrarnej — jeżeli nikt z pomiędzy tych, co płacą, i składki zbierają, nie widzi i nie szuka dróg do celu, nie poczuwa się do uczynienia dla niego nic więcej nad perjodyczne w miłym towarzystwie zastanawianie się nad programem i konstatowanie zbiorowej nieradności i bezsilności.

Partja nie żyje ani formułowaniem tego co być powinno, ani nawe konstatowaniem tego co jest. Już i ta druga czynność, zresztą — nie wystarczająca lecz niezbędna — bywa u nas dość systematycznie zaniedbywana. Celem jej i zadaniem jest reformowanie tego, co jest w kierunku tego, co być powinno.

Partja żyje energią, ofiara, inicjatywą składających ją jednostek, które dla tego łączą się, by swą działalność zespolić, skoordynować, znaleźć dla niej poparcie. Gdzie wszyscy członkowie razem wzięci nic nie robią, tam śpi i stronnictwo. Gdzie kilku osób ma robić za całą resztę, tam partja składa się istotnie tylko z tych kilku osób i musi być bezsilną. Energja i inicjatywa najwybitniejszych jednostek tylko tam przydać się może, gdzie służy do rozbudzenia energji i inicjatywy, wśród ogółu. Tylko wtedy też można przypisywać człowiekowi zdolności polityczne, gdy on nietylko chce lecz umie kierować zbiorowym czynem, nie zaś wtedy, gdy godnie reprezentuje zbiorową inercją.

Z tego punktu widzenia dobra organizacja partyjna, będzie polegała właśnie na spożytkowaniu wszelkich indywidualnych zapoczątkowań na rzecz zbiorowej działalności.

Każdy członek jej winien odnosić się do ognisk centralnych, nie z zapytaniem, co robić? lecz zawiadomieniem, co się robi lub robić zamierza i z żądaniem sankcji, poparcia, współdziałania.

Każda myśl rodzi się najprzód tylko w jednej głowie, każda praca musi być rozpoczęta przez jedną parę rąk. Może jednak i powinna stać się wspólną własnością danego zrzeszenia. Tajemnicą tego zespolenia jest pomoc wzajemna. Każdy walczący na posterunku, który sobie obrał lub który mu się nastręczył, powinien czuć, że ma za sobą gotową odsiecz ze strony swych idejowych współwyznawców—poty, póki pozostaje wierny wspólnemu sztandarowi.

I. Moszczeńska.

---

4)

ANDRÈ GIDE.

IN MEMORIAM.

Pamięci Oskara Wilde'a.

(Dokończenie).

Rozmawialiśmy w ten sposób w ciągu kilku dni; dowiedziałem się jego nazwiska i fachu. Nazywał się P..., nadzwyczaj dobry chłopiec, nadzwyczaj dobry! Nie umiałem jednak jeszcze mówić nie poruszając wargami; to też pewnego wieczoru usłyszałem nagle: numer 33 (to byłem ja, numer 33) i numer 48 wyjść z szeregów". A kiedy wyszliśmy z szeregów dozorca powiedział: „musicie się stawić przed panem naczelnikiem". Ponieważ serce moje przejęte już było miłosierdziem, więc zląkłem się jedynie o niego i byłem nawet rad, że będę za niego cierpiał. Lecz naczelnik okazał się okrutnym. Przywołał pierwszego P..., chciał nas badać osobno, gdyż trzeba panu wiedzieć, że kara nie jest jednakowa dla tego, który rozpoczął rozmowę i dla tego, który tylko odpowiadał. Ten, który przemówił pierwszy, bywa karany dwa razy surowiej; zwykle pierwszy dostaje piętnaście dni ścisłego aresztu, drugi tylko ośm; wówczas zaś dyrektor chciał zbadać, który z nas rozmowę rozpoczął. Naturalnie P..., który był bardzo porządnym chłopcem, przyznał się, że to on: kiedy zaś następnie naczelnik wezwał mnie, powiedziałem, że to ja przemówiłem pierwszy. Wówczas naczelnik poczerwieniał, gdyż nic nie rozumiał. „P... jednak mówi również, że to on rozpoczął rozmowę. Nie mogę tego zrozumieć"...

„Niech pan tylko pomyśli, dear! On tego nie mógł zrozumieć". Był ogromnie zmieszany i mówił: „Skazałem go przecież na piętnaście dni aresztu"... poczem dodał: „Zresztą, jeżeli to naprawdę tak jest, to dostaniecie obaj po piętnaście dni".

Prawda, że to nadzwyczajne! Czyż człowiek ten istotnie posiadał jakąkolwiek wyobraźnię!—Wilde rozbawił się nadzwyczajnie tym co mówił, śmiał się, uszczęśliwiony, że może opowiadać:

„I naturalnie, po upływie piętnastu dni mieliśmy o wiele większą ochotę do rozmowy niż poprzednio. Nie ma pan pojęcia jak słodkim było dla nas poczucie, że cierpimy jeden za drugiego! Ponieważ szliśmy nie zawsze w jednakowym porządku, przeto zacząłem rozmawiać ze wszystkimi po kolei; ze wszystkimi, ze wszystkimi... dowiedziałem się o ich nazwiskach, o ich życiu i kiedy którykolwiek opuszcza więzienie, mówiłem mu: „natychmiast po uwolnieniu idź na pocztę, otrzymasz list z pieniędzmi". W ten sposób utrzymuję z nimi ciągłe stosunki, a kocham ich bardzo. Niektórzy są po prostu bajeczni. Czy pan uwierzy, że trzech już odwiedziło mnie tutaj? Czyż to nie zachwycające"?

Poprzedniego okrutnego naczelnika więzienia zastąpił inny, sympatyczny bardzo człowiek! zupełnie wyjątkowy i nadzwyczaj uprzejmy dla mnie... I nie może pan sobie wystawić jak dobroczynny skutek wywarło wystawienie „Salonu" w Paryżu właśnie w owej epoce. Tutaj nie pamiętano zupełnie o tym, że jestem pisarzem... Skoro się dowiedzieli jakie powodzenie miała sztuka moja w Paryżu, wywnioskowali: „to zabawne! więc on widocznie ma talent"...! I począwszy od tej chwili pozwolono mi czytać wszystkie książki, jakich sobie życzyłem.

Angielski blok postępowy.

Utarte mniemanie, jakoby w Anglji istniały tylko dwa stronnictwa — zachowawcze czyli *tory* i liberalne czyli *whig* — mija się po części z prawdą.

Obok właściwych liberałów istnieją oddawna i wybitną odgrywają rolę *radykaliści*, którzy już w r. 1819-ym opracowali i włączyli do swego programu szereg postulatów, będących odtąd wzorem dla postępowców całego świata.

Nadto, w miarę różnicowań społecznych, zjawiły się po lewicy radykalnej grupy i partje robotnicze [1]), które wszelako podczas wyborów zawierają sojusz z liberalno-radykalnem skrzydłem, by przeciwstawić torysom zwarty blok lewicy.

Liczne i rozmaite czynniki złożyły się na to tak typowe dla angielskiego życia zjawisko.

Przedewszystkiem, właściwy Anglikom zmysł praktyczny i pozytywny, który skłania najbardziej nawet niecierpliwych ideologów przewrotu do liczenia się z prawami powolnej ewolucji.

Następnie — oryginalny system wyborczy, w którym decyduje nieodwołalnie *względna* większość głosów przy nieograniczonej ilości kandydatów; (zwyczaj odwoływania się do *wyborów ściślejszych* nie jest w Anglji praktykowany). Wskutek tego wszystkie żywioły postępowe, pod groza klęski niechybnej, muszą współzawodnictwo jałowe zastąpić skutecznym współdziałaniem.

Nadto — i to jest bodaj cechą narodową Anglików, najbardziej godną zazdrości — niema w tym kraju i nie było nigdy *prawicy wstecznej* — nawet, w r. 1814-ym, kiedy „Święte Przymierze" dzierżyło w stalowych kleszczach cały kontynent europejski.

Zachowawcy angielscy (*tories*) mianowali się zawsze stronnictwem liberalno-konstytucyjnym, przywiązanym do parlamentaryzmu i szanującym jego prawa; wprawdzie byli oni zazwyczaj oporni wszelkiej reformie i celowali w gromadzeniu przeszkód na drodze postępu, ale z chwilą, gdy reforma, uchwalona większością głosów, stawała się *prawem* — przyjmowali takowe lojalnie, nie próbując nigdy, na mocy chwilowej przewagi, proklamować *status quo ante*.

Wogóle struktura polityczna państwa wpłynęła potężnie na utrzymanie harmonji życia. Wiadomo, że w Anglji działa automatycznie, bez przerwy niemal, *system zmiennych rządów*,[2]) dzięki czemu Anglja posiada zawsze 2 rządy: jeden faktyczny (ministerjum), zaś drugi w odwodzie (szefowie opozycji). W Izbie Gmin, u stóp mównicy, nawprost *speaker'a* (prezesa) przy wielkim stole zasiadają te dwa rządy *vis-à-vis* siebie: po prawej stronie gabinet z prezesem ministrów na czele, po lewej—wybrani wodzowie opozycji ze swoim *leader'em*. Większość i mniejszość posłów zajmuje również odpowiednie miejsca. Szczegół ciekawy: gdy gabinet, większością głosów Izby obalony, podaje się do dymisji—opozycja przechodzi na prawą stronę i staje się rządem, zaś rząd poprzedni zajmuje jej miejsce.

Ponieważ *leader* opozycji na mocy tego obyczaju, winien natychmiast utworzyć własny gabinet, skoro tylko gabinet poprzedni zostanie przezeń obalony — niema w Anglji t. zw. oponentów z zasady, którzy specjalizują się niejako w obalaniu rządów, pozostając nadal w szeregach nieprzejednanej lewicy. Wszystkie bez wyjątku stronnictwa i wszystkie żywioły muszą zatym brać udział nietylko w komisjach parlamentarnych, ale w rządach bezpośrednich, w pracy gabinetowej, przyjmując na swoje barki część ogólnej odpowiedzialności. Nie pozostało to oczywiście bez wpływu na rozwój zmysłu państwowo-politycznego wśród socjalistów angielskich, ucząc ich być obywatelami swego kraju i nie pozwalając stoczyć się w otchłań jałowego fanatyzmu i nałogów anarchistycznych.

Dla *doktrynerów* miejsca w Anglji niema i to wyróżnia ten kraj niezmiernie dodatnio, jakkolwiek scholastycy marksizmu zwykli ubolewać nad „zacofaniem" tych wyspiarzy. Ci zaś bynajmniej nie cierpią z tego powodu, przekładając praktyczny reformizm nad jałowe i oderwane tezy. „Czerwone widmo", które straszy zachowawców Europy, odbierając im sen po nocy — wstrzymało się bezsilnie przed cieśniną La Manche; to też burżuazja angielska, wolna od niewczesnych obaw, chętny daje posłuch żądaniom proletarjatu, tymbardziej, że dobrze pojęty interes ogólny bynajmniej im nie przeczy. Teorja *interwencji państwa* zyskuje w Anglji szerokie zastosowanie; socjalizm municypalny czyni szybkie postępy, zwłaszcza od czasu ostatnich reform Gladstona w r. 1867 i 1885-ym. Radykalizm posiadł wpływ przemożny wśród *whigów*, przesiąkszy nawet — w postaci *unionizmu*[3])—do prawego skrzydła zachowawców; to też ku niezmiernemu zdumieniu świata, angielscy *tories* w drugiej połowie XIX-go wieku poczęli sami dawać inicjatywę reform.

Głośny *leader* torysów, Disraeli, (lord Beaconsfield) mawiał: „Troską prawdziwego męża stanu winno być zdrowie i dobrobyt ludu". Joe Chamberlain przejął się socjalizmem municypalnym i śmiało głosił potrzebę uspołecznienia różnych gałęzi przemysłu. Gladstone zaś, ten potężny polityk, który od poglądów *tory* drogą harmonijnego rozwoju doszedł pod koniec pracowitego życia do czerwonego radykalizmu z całym ogromem jego społecznych perspektyw — mienił się publicznie „socjalistą" i z uśmiechem tłumaczył szlachetnym Lordom idee Wallace'a i George'a.

* *

Powyższe czynniki złożyły się na to, że rozwój społeczny Anglji postępował naogół normalnie, bez reakcyjnych zakusów, bez krwawych konwulsji i bez ofiar zbytecznych to też w żadnym państwie europejskim — prócz może Szwajcarji i krajów Skandynawskich — demokracja nie jest równie silnie ugruntowana i ustrój parlamentarny nie funkcjonuje równie prawidłowo.

* *

Chlubnie do tego przyczynili się *Fabjanie* — liga socjalistyczna, złożona z ludzi wykształconych, władających dobrze słowem i piórem. Kilkunastu szlachetnych ideologów założyło w r. 1888-ym *Fabjan Society*, zapożyczywszy metody i nazwy od *Fabjusza Cunctatora* czyli powolnego, by tem zaznaczyć potrzebę stopniowego rozwoju i rozumienie jego praw.

---

1) „Czartyści" nie wchodzą tu w rachubę, był to bowiem ruch epizodyczny, jakkolwiek imponujący swym ogromem.

2) W okresie lat 1832—68 liberali byli 7 razy u steru władzy, zachowawcy — 3 razy. Od r. 1868 po dziś dzień „whigs" i „tories" zmienili się 8 razy, rządząc średnio po 4 lata.

3) Gdy Gladstone w r. 1886-ym stanął po str[...] autonomji irlandzkiej („home rule"), wówczas od lewicy liberalnej odpadła część liberałów (pod wodzą Hartingtona) i część radykałów (prowadzona przez Chamberlaina) i pod mianem „unienistów" przystała do torysów.

Z początku wyobrażałem sobie, że najwięcej upodobania będę znajdował w literaturze greckiej i poprosiłem o Sofoklesa, lecz nie zasmakowałem w nim: wówczas przyszli mi na myśl Ojcowie Kościoła, lecz i oni również nie wzbudzili we mnie zaciekawienia. I nagle przypomniałem sobie o Dantem... och, Dante! Czytałem go codziennie po włosku! Przeczytałem go od deski do deski, lecz ani Raj ani Czyściec nie wydawały mi się stworzonymi dla mnie. Odczytywałem zaś głównie Piekło. Czyż mogłem tego nie ukochać? Rozumie pan? wszakże my wszyscy żyliśmy w piekle— więzienie było piekłem"...

Tegoż samego wieczora Wilde opowiedział mi szkic swego przyszłego dramatu „Faraon" i dowcipną przypowieść o Judaszu. Nazajutrz zaprowadził mnie do ślicznego pałacyku, oddalonego o dwieście metrów od hotelu; wynajął ten pałacyk i zaczął go urządzać. Tam chce pisać swe dramaty: najpierw „Faraona" a potem „Achaba i Jesabel", (wymawiał Isabelle), których treść znakomicie opowiada. Zaprzężono już powóz, którym mam odjechać. Wilde wsiadł razem ze mną, aby mi chwilę towarzyszyć. Mówił znów o mojej książce, którą chwalił z pewną jednak powściągliwością. Wreszcie powóz się zatrzymał. Wilde żegnał się ze mną, już miał wysiąść, gdy nagle rzekł: „Posłuchaj mnie „dear" — musisz mi coś obiecać: „Nourritures terrestres" to dobra rzecz, bardzo dobra rzecz—ale—przyrzeknij mi, że już nigdy nie będziesz pisał „ja"... A ponieważ miał wrażenie, że nie zrozumiałem dokładnie, dodał: „bo widzisz, w kwestjach sztuki, niema „pierwszej osoby".

IV.

Po powrocie do Paryża, poszedłem do X...a, aby mu zanieść wiadomość o Wildzie. X... powiedział: wszystko to razem jest śmieszne. Wilde absolutnie nie jest w stanie znosić nudy. Wiem o tem najlepiej, gdyż pisze do mnie codziennie; i ja rozumiem doskonale, że musi przedewszystkiem dokończyć swój dramat — potem jednak powróci do mnie napewno — on nigdy nic prawdziwie wartościowego nie zdziałał w samotności; potrzebuje ciągłej rozrywki. Przy mnie napisał najlepsze swe rzeczy. A zresztą niech pan zobaczy jego ostatni list... X... pokazuje mi go i odczytuje. Wilde błaga X...a, ażeby mu pozwolił ukończyć w spokoju „Faraona", lecz zapewnia go uroczyście, że natychmiast po ukończeniu tego dzieła powróci i odnajdzie go. Kończy zaś tym tryufalnym zwrotem „i wówczas będę znów „Królem Życia" (the King of Life").

V.

Wkrótce potem Wilde powrócił do Paryża. Dramat jego nie był skończony — i nie zostanie skończony nigdy. Społeczeństwo umie zniszczyć człowieka doszczętnie i zna sposoby subtelniejsze od śmierci... Wilde zbyt wiele i zbyt biernie cierpiał w ciągu dwóch lat: wola jego była złamana. W ciągu pierwszych miesięcy łudził się jeszcze, lecz wkrótce się poddał.

Był to rodzaj abdykacji. Z podruzgotanego jego życia pozostały jedynie bolesne szczątki, echa tego, czem był niegdyś; chwilami usiłował dowieść, że jeszcze wciąż myśli, resztki dowcipu sztucznego, jakiegoś wymuszonego i zwiędłego. Widziałem go już tylko dwa razy: pewnego wieczora, gdy przechadzałem się po bulwarach — usłyszałem, jak ktoś wołał mnie po nazwisku. Odwróciwszy się, zobaczyłem Wilde'a. Och — jakże się zmienił!... „Gdybym powrócił przed ukończeniem dramatu, widzianoby

Obrawszy za punkt wyjścia, istniejące stosunki, a za cel — unarodowienie pracy, Fabjanie śmiało podjęli robotę drobiazgową, ścisłą i pozytywną, apostolstwo *fin-de-siècle* z całym zasobem naukowych środków i metod, z całą rozwagą odpowiedzialnych i miłujących swój kraj obywateli.

Nie chcąc bynajmniej sklecić zamkniętej i prawowiernej sekty, ani nawet odrębnego stronnictwa — całą swą energję wytężyli na to, by rozpowszechnić, uprzystępnić ideę socjalistyczną, zjednać dla niej głowy i serca radykałów i stopniowo, niepostrzeżenie wprowadzać w życie.

W tym celu Fabjanie rozrzucili po kraju tysiące broszur, ankiet, danych statystycznych i monografji społecznych, zwracając szczególną uwagę na wymogi i praktykę gospodarki miejskiej.

Robota ich została uwieńczona świetnym powodzeniem. Fabjanie dopięli swego; uzyskali znaczny wpływ wśród radykałów, dźwignęli socjalizm municypalny w Anglji tak wysoko, jak nigdzie w Europie, przemogli nieufność i sceptycyzm mieszczaństwa, dowiódłszy zwycięsko, że *socjalizm pojmowany właściwie* harmonizuje z postępem i sprawami dziejowego rozwoju.

W ten sposób użyźniony grunt wydał bujne plony. Dzisiejsze przedstawicielstwo robotnicze (*Labour Party*) zawdzięcza robocie Fabjanów część znaczną wpływu i powagi, jaką się cieszy w Izbie Gmin i w społeczeństwie.

* * *

Rządzący od lat kilku w Anglji *blok postępowy* posiada dwa skrzydła: umiarkowane i skrajne.

Skrzydło umiarkowane *bloku* składa się z grup następujących:

1) stron. lib. radykalne 345 głosów, 2) radykaliści społeczni 50 głosów, 3) Liberal Labour 11 głosów, 4) Górnicy 14 głosów — ogółem 420 głosów.

Skrajne skrzydło składa się wyłącznie z posłów-robotników, należących do *Labour Party* i podwładnych jej 4 grup:

1) Fabjan Society, 2) Związki Zawodowe, 3) Indep. Labour Party, 4) Ligi socjalistyczne — ogółem 31 głosów.

Razem tedy angielski blok postępowy liczy 451 głosów, stanowiąc w Izbie Gmin 670 głosów, większość imponującą [4]), z całego bloku jeden tylko poseł robotniczy p. Willthorne jest socjalistą nieprzejednanym i prawowiernym, należąc do *Social Democratic Party*. Reszta posłów robotniczych (w liczbie 74) głosuje solidarnie z radykałami i z *Labour Party*. Ta ostatnia istnieje od 1900-go roku i rozwija się potężnie. W roku 1908-ym zjazd partyjny w Hull wypowiedział się za socjalizmem, czyniąc jednak rozumne zastrzeżenie, że wyznawanie zasad socjalistycznych nie jest w partji obowiązującym [5]).

[4]) Cyfrowe dane zawdzięczam pracy W. L. George'a („Pages libres" № 39), Paris).

* * *

Umiarkowane liberalno-radykalne skrzydło bloku pod względem tendencji ogólnych podobnym jest do radykalizmu francuskiego. Radykaliści społeczni (w liczbie 50) wywierają wpływ przemożny na większość rządową, licząc w swoich szeregach osobistości, bardzo wybitne: Lloyd George'a, Johna Burnsa, Wilsona, Dilke'a i innych. Jakkolwiek ta grupa nie wiele ma wspólnego z właściwym socjalizmem, to jednak w kwestjach ogólnych głosuje solidarnie z *Labour Party*, tworząc pośrednie i bardzo ważne ogniwo pomiędzy centrum radykalnym a przedstawicielstwem robotniczym. Wiele pożytecznych reform uzyskano dzięki temu współdziałaniu (np. podatek dochodowy, nietykalność kas związkowych podczas strejku, parcelacja rolna i t. d.).

W zależności od radykałów społecznych są dwie niewielkie grupy robotnicze: *górnicy i liberal Labour* (w skróceniu *Liblab*) *Liberal Labour* reprezentuje związki robotnicze bezpartyjne i niesocjalistyczne, które bez troski o zasady ogólne, przywiązują specjalną wagę do praktycznych zdobyczy i wysyłają do parlamentu 11 swoich przedstawicieli - robotników oczywiście — zaopatrzonych w ścisłe instrukcje.

Potężne związki górnicze wysyłają do Izby 14 posłów-robotników; w kwestjach ogólnych głosują oni solidarnie z radykalistami, zaś w kwestjach zawodowych idą ręka w rękę z *Labour Party*, do której zresztą zbliżają się stopniowo. Angielskie związki zawodowe, potężne ilościowo i materjalnie [6]) stanowią właściwe kadry *Labour Party*—Stronnictwa Pracy, które w ciągu 8 lat swego istnienia zwiększyło się w trójnasób, licząc obecnie miljon zorganizowanych robotników.

Labour Party składa się z 4-ch wymienionych poprzednio grup autonomicznych wskutek czego cechuje tę partję znaczna tolerancja i duża rozmaitość odcieni, począwszy od radykalizmu społecznego, skończywszy na komunizmie biblijnym. Niektóre ze związków zawodowych, wchodzących w jej skład, wierne są dotychczas liberalizmowi starej daty, podczas gdy np. *Indep. Labour Party* zbliża się do francuskiego zjednoczenia socjalistycznego (*Parti Socialiste Unifie*).

[5]) Obecni na zjeździe delegaci reprezentowali 985,000 robotn. Decyzja reprezentuje większość 45,000 głosów.

[6]) W r. b. liczyły one 1,600,000 członków, posiadając kapitału w kasach 60 miljonów rb. i dochodów rocznych 24 miljony rb.

Różnolitość żywiołów, wchodzących w skład *Labour Party* bynajmniej temu stronnictwu nie szkodzi, jakkolwiek wyda się to dziwnym naszym „partyjnikom", którzy gorliwie przestrzegać zwykli czystość swej doktryny.

Rdzeniem *Stronnictwa Pracy* jest *Independant Labour Party* założona w r. 1892 przez głośnego trybuna Keir-Hardie. Taktyką rozumną i tolerancyjną zdołało to stronnictwo zjednoczyć 4 sekcje pod wspólną egidą: *przedstawicielstwa pracy. Indep. Labour Party* posiada 19 własnych posłów (z ogólnej liczby 31 *labour members*) w Izbie Gmin, oraz blisko 800 w ciałach samorządu okręgowego i miejskiego. Obok pomienionych grup odrębne zajmuje stanowisko *Social Democratic Party* — stronnictwo najstarsze (1880 r.) najbardziej krańcowe, nieprzejednane i... najsłabsze ze wszystkich stronnictw robotniczych w Anglji. Uważa się za jedyny prawowierny ośrodek socjalizmu. Wyklina wszystkie inne grupy i trzyma się na uboczu od *Labour Party*. Z Marksa *kapitałem* w ręku głosi doktrynę nieprzejednaną, odpycha sympatyków i odtrzeca wyciągnięte ku niemu dłonie. To też dotąd nie zdobyło ani jednego miejsca w parlamencie, gdyż jedyny poseł socjaldemokrata zasiada w Izbie Gmin tytułem przynależności do *Labour Party*.

Ta krańcowa sekta, jako znamienny wyjątek, określa ogólną regułę angielskiego socjalizmu, który nawet w ogniu walki klasowej nie zaniedbuje kulturalnych urządzeń państwowych i umie szanować liberalną ich tradycję.

Leon Gorecki.

O naszej zagranicznej młodzieży uniwersyteckiej.

Prasa nasza od czasu do czasu zajmuje się kwestją stosunku młodzieży do ogółu, rozpatruje ją pod kątem widzenia obowiązków społecznych i za każdym razem przychodzi do wniosku, że praca młodzieży na niwie publicznej przedstawia się nader skromnie.

Jeśli się przyjrzeć nieco bliżej życiu naszej młodzieży za granicą, jeśli się rozpatrzy warunki, w jakich ona przebywa przez przeciąg kilkoletnich studjów, jasnym bę-

we mnie tylko przestępcę" powiedział do mnie niegdyś. Powrócił nie ukończywszy dramatu, a kiedy zamknięto przed nim niektóre drzwi — nieusiłował już dostać się nigdzie — błąkał się.

Przyjaciele kilkakrotnie usiłowali ratować go: wynajdywano różne drogi: zawieziono go do Włoch. Wilde jednak wymykał się niebawem i upadał ponownie. Niektórzy z pomiędzy najwierniejszych jego przyjaciół, tyle razy mi powtarzali: „Wilde'a nie można już widywać...", że ujrzawszy go nagle w miejscu, gdzie był duży ruch, publiczności, zmięszałem się trochę. Wilde siedział przy stoliku na werandzie jakiejś kawiarni. Zamówił dla mnie i dla G... dwa coc-tails'y. Chciałem usiąść naprzeciwko niego w ten sposób, aby plecami być odwróconym do przechodniów, lecz Wilde, urażony tym ruchem, który sobie wytłomaczył, jako niedorzeczny wstyd (nie mylił się niestety, przynajmniej nie w zupełności), szedł wskazując krzesło obok siebie.

„Siądź pan tutaj, koło mnie, jestem teraz taki samotny!"

Wilde był jeszcze ubrany dostatnio, lecz cylinder jego nie był już tak świeży; kołnierzyk tego samego fasonu, nie był już tak czysty, jak zwykle, rękawy surduta były nieco wystrzępione.

„Nie czerwieniłem się z zażenowania gdym niegdyś spotykał Verlaine'a, powiedział z odcieniem dumy, jakkolwiek byłem bogaty,radosny,uwieńczony sławą, czułem,że przebywanie z Verlainem przynosi mi zaszczyt, pomimo że był on pijany..." Następnie zaś, w obawie znudzenia G..., zdaje mi się, zmienił nagle ton rozmowy, usiłował być dowcipnym, żartować... Sposępniał. Wspomnienie moje z tych momentów stały się niezmiernie bolesne. Wreszcie pod nieśliśmy się obaj z towarzyszem. Wilde oparł się, aby załatwić rachunek — właśnie miałem się z nim pożegnać, kiedy odciągnął mnie na bok i zmięszany rzekł z cicha: „Wie pan... muszę się panu przyznać... jestem absolutnie bez środków..."

W kilka dni potem widziałem go po raz ostatni. Z rozmowy naszej przytoczę tylko zdanie. Opowiedział mi o swej nędzy, o niemożności dokończenia lub nawet zaczęcia jakiejkolwiek pracy. Przygnębiony, przypomniałem mu obietnicę, jaką sam sobie uczynił, powrócenia do Paryża dopiero z ukończonym dziełem: „Ach — czemu pan tak wcześnie opuścił B...; przecież miał pan tam pozostać tak długo. Nie mogę powiedzieć, abym miał do pana o to urazę, ale..." Przerwał mi, położył dłoń na mojej ręce, spojrzał na mnie niezmiernie bolesnym wzrokiem i rzekł: „nie trzeba mieć żalu do kogoś, kto został złamany".

Oskar Wilde umarł w nędznym zajeździe przy ulicy des Beaux Arts. Siedem osób szło za trumną i to jeszcze nie wszystkie odprowadziły do końca orszak pogrzebowy. Na karawanie kwiaty, wieńce... Jeden jedyny, jak mi mówiono, posiadał napis: był to wieniec od właściciela zajazdu — widniał napis: „memu lokatorowi"...

KONIEC.

dzie, że praca ta innych rezultatów wydać nie jest w stanie.

Wypada zauważyć, że pod wpływem wstrząśnień ostatnich lat kilku i zmian, jakie zaszły w życiu naszego kraju, charakter młodzieży uległ głębokim i poważnym przeobrażeniom.

Jeszcze niedawno, kiedy to epokowy ferment przyspieszał puls życia idejowego, kolonje młodzieży w miastach uniwersyteckich za granicą przedstawiały organizmy żywotne i czynne. Życie kolonjalne, będąc związane tysiącem nici z życiem naszego ogółu, przyjmowało bliski udział w sprawach go obchodzących, reagowało na wszystkie przemiany w nim zachodzące i przygotowywało się do pracy nad zaspokojeniem rodzących się potrzeb społeczeństwa. Ścisły ten kontakt przyczyniał się do wzajemnego oddziaływania, które wzbogacało twórczość pracy kulturalnej młodzieży, a intensywne życie umysłowe w ośrodkach uniwersyteckich dawało wzamian krajowi odpowiedni zastęp działaczów.

Dziś, wraz ze zmianą ogólnej sytuacji i charakter kolonji zagranicznych uległ jednakim przemianom. Ogólna martwota, cechująca dobę obecną, wzięła w posiadanie i życie młodzieży, tworząc podłoże dla apatji, rezygnacji i rozgoryczenia. W atmosferze bezczynności społecznej zanikają dążności do pracy kulturalnej, a jeszcze niedawno licznie się do niej garnąca młodzież stroni i usuwa się na całej linji.

* *

W wysokim stopniu przyczynia się do złych wyników pracy społecznej młodzieży jej trudne położenie materjalne.

Dzięki zmienionym warunkom kształcenia się w kraju i zamknięciu wyższych uczelni, wzmogła się w niesłychanym dotychczas stopniu wędrówka za granicę. Bez odpowiednich zasobów materjalnych (często bez żadnych zasobów, licząc nierozważnie na poparcie instytucji koleżeńskich) studenterja polska pędzi niepewny żywot, bez zadawalających perspektyw na następne lata studjów.

Coraz częściej dają się spotykać w pismach odezwy zarządów „Bratniej pomocy", starające się zwrócić uwagę ogółu na chroniczny brak funduszów, na niemożliwość zaspokojenia rosnących potrzeb, które stoją w prostym stosunku do nieprzerwanego napływu młodzieży.

Nienormalne położenie materjalne (oprócz innych wpływów ujemnych) specjalnie źle oddziaływa na bieg zajęć uniwersyteckich, które biorąc naogół, pozostają w stanie ciągłego zaniedbania (znaczny procent studentów Polaków zalega z opłaceniem inskrypcji, laboratorjów, odkłada egzamina i t. d. i t. d.). Nie rozporządzając zaś odpowiednimi środkami do prowadzenia w ciągłości swych studjów, młodzież nasza pośrednio przez to jest pozbawioną możności wykorzystania lat uniwersyteckich w kierunku *wszechstronnego* zapoznania się z kulturą Zachodu.

* *

Sprawa bytu młodzieży zagranicznej wymaga rozwiązania i od lat kilku figuruje w szeregu kwestji palących. Cóż uczyniło nasze społeczeństwo w tej mierze? Żąda rachunku z działalności? Wyraża niezadowolenie z pracy młodzieży na polu społecznym?! (*Dziennik poznański*).

Smutnym, zaiste, dokumentem są wyżej wspomniane odezwy.

Apelacja młodzieży do „ofiarności ogółu" (jak się zwykło u nas mówić) pozostaje głuchym dźwiękiem, chybionym środkiem zaradczym i poty nim pozostanie, dopóki społeczeństwo nasze nie otrząśnie się z apatji względem swych obowiązków. Jak okiem sięgnąć, na polu pracy publicznej ujawnia się odwieczny indyferentyzm naszego ogółu, w każdej dziedzinie odczuwa się brak jego interwencji, wszelka inicjatywa rozbija się o bierność jego, każde prawie dzieło o doniosłości społecznej utyka z braku poparcia i odpowiednich funduszów.

Nie o prostą „ofiarność" tu chodzi. Chodzi o głębokie zainteresowanie się losem tej młodzieży, dla której ogół nasz nie był w stanie stworzyć odpowiednich warunków kształcenia się w kraju; chodzi o wyzbycie się niedołęstwa i odwiecznej, starczej niemocy przy wypełnianiu podjętej już inicjatywy, o zaprzestanie używania paljatywów, mających dźwigać dzieła.

Ofiarność daje się podciągnąć pod rubrykę filantropji, z którą w tym wypadku nie powinna mieć nic wspólnego. Opieka materjalna nad młodzieżą wchodzić powinna w zakres obowiązku społecznego i, gdy ogół nasz wzniesie się do najistotniejszej jego formy, wówczas stosunek jego do młodzieży (i odwrotnie) wejdzie na normalne tory, oparty zostanie na właściwej podstawie.

H. Łukrec.

Socjalizm i sprawiedliwość.*)

Pod takim tytułem p. Leo Belmont wydał świeżo pracę, w której krytykuje dawne teorje i wykłada własną. Jednak książki zatytułowanej „Teorja wartości" u nas nie czytanoby, wydawałaby się zbyt ciężką, stąd — przypuszczam—efektowny tytuł „Socjalizm i Sprawiedliwość", usprawiedliwiony skądinąd uwagami, jakie autor robi o socjalizmie we wstępie i w zakończeniu swej pracy.

Te uwagi są niezmiernie cenne, bo autor wypowiada w nich to, co wszyscy widzą, a czego nikt niema odwagi głośno powiedzieć. „Socjalizm jest u nas znany najbardziej z popularnych książeczek Kautsky'ego. Umysłowy poziom naszego socjalizmu od strony teorji naukowej jest znacznie niższy, niż poziom nawet socjalizmu rosyjskiego". Nawet w Rosji oryginalne prace w rodzaju Tuhan - Baranowskiego, przekłady Bernsteina, Sombarta, Böhm-Bawerka i innych krytyków socjalizmu „stają się zwolna czynnikiem, posuwającym naprzód myśl socjalistyczną i uwalniającym ją z pęt ortodoksji. Natomiast my jesteśmy ortodoksami Marksizmu bez znajomości Marksa,a cały ruch rewizjonistyczny, tak głęboki na gruncie niemieckim, jest nam niemal zupełnie obcy... To co socjalista niemiecki w teorjach Marksa zdawna uważa za chwiejne, u nas słynie, jako pewnik niezbity".

P. Belmont konstatuje więc, że kiedy w innych społeczeństwach ściera się ze sobą pięć, sześć doktryn ekonomicznych — u nas istnieje właściwie tylko jedna, a mianowicie *ortodoksyjny marksizm*. Myśl postępowa naszego społeczeństwa jest skuta w dogmat, tak, jak i jego myśl konserwatywna. Myśl polska dzieli się bez reszty na dwie ortodoksje: katolicką i marksowską. Najtrudniej jest poznać samego siebie — to też tak trafna charakterystyka myśli polskiej, zrobiona przez Polaka, zasługuje na wyróżnienie.

W ostatnim rozdziale swej pracy, p. Belmont także wykracza poza swój temat i twierdzi, że „jedno tylko w socjalizmie jest dla niego wykonalnem, a mianowicie dążenie, aby każdy człowiek miał wiedzę, odpowiednią do swoich zdolności, aby miał pracę i aby nikt nie umierał z głodu. Postęp jest urzeczywistnieniem utopji i obowiązkiem każdego prawdziwego człowieka jest — aby ta „utopja" stała się rzeczywistością!

Prawo do bytu i prawo do wiedzy, zabezpieczone dla każdego człowieka, ja nazywam solidaryzmem i twierdzę, że nietylko obowiązek, lecz i interes każdego człowieka wymaga, aby ono było urzeczywistnione w stosunku do wszystkich innych ludzi, bo nędza i ciemnota wytwarza choroby i zbrodnie, które drogą szpitali i więzień i tak obciążają budżet każdej jednostki. Leczyć *skutki* nędzy i ciemnoty w każdym razie trzeba; inaczej absolutnie nikt nie miałby najmniejszej pewności zdrowia i życia. Lecz zamiast kłaść główny nacisk na leczenie tych *skutków* w szpitalach i więzieniach, należy chwytać zło u źródła, wtedy łatwiej mu zapobiec, czyli że należy przeważnie leczyć nie skutki nędzy i ciemnoty, a samą nędzę i ciemnotę. Wydawajmy więcej na szkoły i schroniska, a mniej nas będą kosztować szpitale i więzienia, nie mówiąc o tem, że wszystkim nam będzie lepiej...

P. Belmont rozumuje w pokrewny sposób, lecz nazywa to częścią socjalizmu. Niech i tak będzie. O słowa sprzeczać się nie warto.

Ogólne uwagi p. Belmonta znajdujemy we wstępie i w ostatnim rozdziale, zatytułowanym „Prawa moralne w gospodarstwie społecznym". Reszta książki (150 stron ze 179-ciu) jest poświęcona zagadnieniu wartości.

P. Belmont słusznie zaznacza, że świadomym zwolennikiem lub przeciwnikiem marksizmu może być tylko ten, kto ma jakiś sąd o czterech idejach (dogmatach) marksizmu, którymi są: 1-o materjalizm dziejowy 2-o walka klas, 3-o koncentracja kapitałów, 4-o teorja nadwartości.

W swej pracy p. Belmont omawia tylko czwarty dogmat marksowski: nadwartość, krytykując przy tym i inne teorje wartości, a wreszcie, jak zaznaczyłem, formułując własną.

W *zagadnieniu wartości* p. Belmont odróżnia wartość subjektywną (pożądanie) od wartości objektywnej (użyteczność) i twierdzi, że zasadą pojęcia wartości będzie odpowiedniość środków do celów, miarą — stopień tej odpowiedniości. Lecz tak postawione zagadnienie wylania się z ram ekonomji. Właściwą ekonomiczną wartością jest dopiero wartość *wymienna*, niemniej na tę wartość ekonomiczną wpływa wartość subjektywna i objektywna, gdyż wymieniamy tylko takie przedmioty, których ktoś pożąda, lub które są do czegoś użyteczne. I już na pierwszych stronicach p. Belmont nie zgadza się z Marksem, który za jedyny regulator wartości przedmiotu uważa pracę, włożoną w ten przedmiot, a za jedyny miernik pracy — czas, potrzebny do jej wykonania.

„W samej rzeczy — pyta autor — co uczynić, aby rzecz była wartościową, t. j. pożądaną, gdy nikt jej nie pożąda, choćby wymagała największych wysiłków pracy? I co począć, aby rzecz była wartościową, t. j. użyteczną, gdy włożony w nią olbrzymi wydatek energji i czasu dał w rezultacie wyrób niedołężny?"

Sam Marks,który w dwuch pierwszych tomach *Kapitału* pragnie uczynić pracę i czas pracy jedynymi miernikami wartości, zupełnie co innego mówi w trzecim tomie *Kapitału*, gdzie wartość przedmiotu identyfikuje z jego ceną targową, a tę ostatnią stawia w ścisłą zależność od kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo. I tę teorję krytykuje p. Belmont, opierając się częściowo na pracach Böhm-Bawerka, w każdym razie zupełnie słusznie twierdzi, iż 3-ci tom *Kapitału*, na którym opiera się reformizm, jest owocem daleko dojrzalszej myśli Marksa, niż pierwsze dwa tomy, które dzięki uproszczonej egzegezie Kautsky'ego stały się podstawą ortodoksji. W „Nędzy filozofji" Marks znów gwałtownie zwalcza teorje Proudhon'a (str. 103) o pracy, jako regula-

*) Leo Belmont. Socjalizm i Sprawiedliwość, Studjum etyko-ekonomiczne. Warszawa, 1909 (str. 180).

torze wartości i czasie, jako jej mierze. Zwalczaną przez siebie w „Nędzy filozofji" teorję, Marks w pierwszych dwuch tomach *Kapitału* podejmuje, jako własną, aby ją w trzecim tomie porzucić na rzecz nowej teorji wartości... Oczywiście w tych warunkach nic łatwiejszego, jak zwalczać Marksa Marksem i wyciągać z tego wnioski, jakie kto chce, co też z energją godną lepszej sprawy robią w kółko różne szkoły socjalistyczne.

W rozdziale, zatytułowanym „prawa podaży i popytu" autor krytykuje, przyjęte przez klasyczną (t. j. liberalną) ekonomję polityczną, rozwiązanie kwestji wartości, jako jednoznacznej z ceną i wynikającej ze stosunku podaży i popytu. Na podaży i popycie ciąży „grzech pierworodny jego pochodzenia psychologicznego". Autor bierze pod uwagę ów grzech, jako jeden z czynników regulujących wartość. Dalej zastanawia się nad tendencjami różnego rodzaju kapitałów: rolnego, który dąży do osiągnięcia najwyższych cen za produkty spożywcze, przemysłowo-handlowego, który pragnie jaknajbardziej je obniżyć; kapitały: przemysłowy, handlowy i spożywczy także przeciwstawiają się sobie. Pierwszy dąży do wyprzedania całej produkcji, ma więc poniekąd tendencję do spadku. Drugi pragnie wyśrubować ceny, wreszcie trzeci chce je obniżyć. Autor więc staje na gruncie każdego przedsiębiorstwa, które rozpatruje jako organizm. Kością pacierzową tego organizmu jest cena jego produktów. Prądami, które przebiegają ów organizm, są t. zw. ryzyko minimum i ryzyko maximum, czyli dążność do sprzedania wiele, lecz tanio lub też mało, lecz drogo. Cena, która na rynku rodzi się odrazu, jako stosunek zawiera w sobie także, w charakterze jednego z czynników, pewną przeciętną pomiędzy ryzykiem minimum, a ryzykiem maximum. W rozdziale „praca, a czas" autor znów polemizuje z Marksem (z pierwszych dwuch tomów *Kapitału*). „Zbadajmy powiada, czy przeciętny, społecznie — konieczny czas, t. j. czas, którego wymaga przeciętna technika, czyli domyślny najczęstszy środek pomiędzy rzadką, bo ustępującą zastarzałą techniką i rzadką, bo nieupowszechnioną jeszcze techniką najnowszego wynalazku chwili, oraz przeciętna zdolność robotnicza, czyli środek pomiędzy usuwanym od roboty niewątpliwem, niedołęstwem a przypadkową wysoką zdolnością rzadkich indywidualności, czy ów przeciętny czas jest dokładnym miernikiem wartości pracy?".

Ktoś powiedział, że dobrze postawić pytanie — znaczy rozstrzygnąć je. Autor, w ten sposób sformułowawszy pytanie, oczywiście roztrzygnie je przecząco, a teorja *godziny pracy prostej i złożonej*, którą niektórzy pragną ratować teorję wartości, opartej-li tylko na pracy, da pohop autorowi do otworzenia perspektywy na ewentualne piekło socjalne, gdzie byliby „bogacze odpoczynku, mający wiele czasu dla siebie i biedaków pracy przedłużonej, mających czas tylko dla innych".

W rozdziale zatytułowanym *konstrukcja nadwartości*, autor dowodzi, że „nie powinna pokutować w mózgach robotniczych, myśl o tem, iż dana fabryka stanowi z punktu moralności i ekonomji ich własność". Autor identyfikuje nadwartość z zyskiem i całkiem słusznie twierdzi, iż niemogło być wyzysku robotnika tam, gdzie wogóle nie było zysku. Dalej autor twierdzi, iż zarówno kapitalista, który zorganizował produkcję, jak i wynalazca, który obmyślił maszynę, mają również prawo moralne do wynagrodzenia za swoją pracę. Wreszcie autor przypomina, iż koszt maszyn, ich reperacja, oraz koszt surowego materjału również obciążają budżet przedsiębiorstwa. Twierdzenie, jakoby każdy robotnik pobierał płacę tylko za połowę czasu pracy, drugą zaś połowę pracował darmo — autor zbija, jako pomysł wprost fantastyczny.

W rozdziale *ewolucja wymiany* — autor dowodzi, iż wymiana w idylicznym wieku „pierwotnego komunizmu" odbywała się w warunkach zupełnej nierówności. Rozwój kultury dopiero nadaje wartość takim rzeczom, które poprzednio jej nie miały: naprzykład życie człowieka nabiera dla zdobywcy wartości dopiero z chwilą, gdy ten zdolny jest nakazać jakąś pracę; uprzednio jeńców wojennych zabijano. W *założeniach Kapitału*, autor dowodzi, iż Marks ze wszystkich czynników składających się na wartość, wybrał jedną tylko pracę, lecz nawet tak uproszczonego zadania nie zdołał konsekwentnie rozwiązać. Marks nie jest bynajmniej Kopernikiem w ekonomji politycznej" konkluduje autor (str. 132). Wreszcie *na szlakach myśli Marksa*, autor ostatecznie odrzuca tezę pracy, jako miernika wartości, opierając się jeszcze raz na teorji godziny prostej i złożonej [1]), oraz twierdzi, iż w marksizmie największą wartość ma to, co bynajmniej marksowskim nie jest, a mianowicie: szacunek dla każdej pracy, umysłowej czy fizycznej, oraz pogarda dla lenistwa. Te uczucia autor oczywiście podziela i życie z pracy stawia, jako ideał do którego należy dążyć. Ideał ten wywołuje uczucie pogardy dla lenistwa, lecz stwarza szacunek zarówno dla pracy fizycznej, jak i umysłowej wszelkiego rodzaju.

Znaliśmy p. Belmonta, jako świetnego publicystę. Dziś poznajemy go, jako *uczonego*. Książka pisana jasno i zajmująco, czyta się łatwo, a jednocześnie jest to praca istotnie naukowa, a oryginalna.

Dzieło p. Belmonta zasługuje na uważne przestudjowanie.

Jerzy Kurnatowski.

[1]) Godzina prosta — ma to być niejako godzina normalnej pracy — godzina jednostka. Inne prace mają być zamieniane na proste; np. 3 godziny pracy złożonej, mogą się równać 10-ciu godzinom pracy prostej. Pozostaje kwestja: kto i jakie prace ma kwalifikować, jako proste lub jako złożone.

NA DOBIE.

Zjazd oświatowo-kulturalny.

Już tylko niespełna miesiąc oddziela nas od zapowiedzianego zjazdu ku uczczeniu jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego. Dotychczas jednak nie mamy dowodów, aby ogół naszej inteligencji postępowej oceniał należycie doniosłość zbliżającej się chwili, aby zamierzał w pełni ją wyzyskać dla dobra tych ideałów, którym służy.

Ogólne skargi na zastój na polu pracy kulturalnej — jeżeli nie mają być jałowym bezpłodnym kwileniem, powinny rozbudzić nową czujność i energję wśród tych, którzy szczerze ukochali postęp, których boli apatja społeczeństwa, jego senne lenistwo, którzy na wzbierające fale reakcji patrzą ze smutkiem i przerażeniem.

Kto zła nie zwalcza, staje się współwinowajcą jego tryumfu.

Bez względu na to, jakie są przyczyny obecnego zastoju, nie kryją się one w tak niedostępnych dla naszego wzroku głębinach, by ich wyśledzić nie było można, by nie dało się sięgnąć do korzenia i wspólnymi siłami obalać je i tępić.

Przed paru laty zdawało się, że na naszej niwie społecznej bujnie wschodzi posiew kultury. Na całym obszarze kraju powstawały instytucje i stowarzyszenia mające na celu podniesienie jego umysłowego i materjalnego poziomu do skali, jaką osiągnęły w szczęśliwszych warunkach rozwijające się narody.

Dziś na tych samych polach widzimy pustkowie.

Bynajmniej nie taimy tej prawdy, że mroźny podmuch reakcji zważył kiełkującą ledwie wegietację. Wiemy, jak trudno jest wznosić budowę na gruncie nawiedzanym przez orkany i trzęsienia ziemi. Wiemy i to że zniechęcenie w danych warunkach łatwo ogarnia tych, którzy przy zupełnym spokoju i bezpieczeństwie dużo zdziałaćby mogli.

Jednakże im warunki trudniejsze, tym większej potrzeba wytrwałości i energji, tym mniej pozwolić sobie można na opuszczanie rąk. Najgroźniejszym niebezpieczeństwem jest bowiem bezwład, który nas samych ogarnia. Przy wielkim natężeniu energji i wytrwałości możemy zrobić niewiele; bez wysiłków z naszej strony — zginiemy.

Zbliżający się zjazd winien posłużyć nam do zespolenia sił, do gorącej wzajemnej podniety w walce z reakcją, do odkrycia nowych środków podźwignięcia się z upadku, do wykreślenia nowych dróg działania. Niech na nim znajdą wyraz wszystkie doświadczenia i spostrzeżenia zebrane na drodze jednostkowych zapoczątkowań, wszystkie braki i trudności odczuwane przez ludzi dobrej woli pracujących na niwie społecznej, wszystkie troski i wszystkie nadzieje przywiązane do dzieł rozpoczętych.

Pamięć o 40 latach niezmordowanej działalności tego, czyje imię zjazd uczcić zamierza, przykład zasług położonych przez niego dla rozwoju umysłowości polskiej — powinny zagrzewać i krzepić znużonych, zawstydzać leniwych i obojętnych.

Nie platoniczni czciciele postępu, lecz jego pracowici oracze i siewcy posuwają społeczeństwo na nowe drogi.

Nieprawnie mieniłby się postępowcem ten, kto pracy swej, czasu i środków szczędzi, gdy o sprawę publiczną chodzi, kto ani głową, ani ręką, ani groszem nie wspiera kulturalnych i oświatowych zadań.

Najtrudniejszą rolę mają postępowcy na prowincji. Rozbici na drobne kółeczka, zewsząd naciskani i zagrożeni przez zorganizowane siły naszej rodzimej reakcji najcięższą staczają walkę, najszybciej podlegają rozbiciu i zniechęceniu.

Oni też właśnie najskwapliwiej korzystać winni ze zdarzającej się sposobności skoordynowania swych prac z pracami sobie podobnych, porozumienia się i znalezienia punktu oparcia we współdziałającej z nimi zbiorowej sile. Rola ich na zjeździe winna być nie tylko bierna, lecz w pierwszym rzędzie czynna. Zebrane przez nich doświadczenia lub stworzone przez nich metody posłużyć mogą za cenne wskazówki dla działaczy warszawskich znajdujących się wprawdzie w łatwiejszych warunkach lecz tylko dzięki temu, że obracają się w bardziej jednolitym środowisku sympatyków a mniej bezpośrednio stykają się z obozem przeciwnym. Prowincjonalne stosunki, bardziej przejrzyste i mniej skomplikowane dają nieraz właściwszą miarę dla oceny układu sił i przystosowania środków do celów.

Mamy nadzieję, że czytelnicy nasi skwapliwie skorzystają z tak rzadkiej teraz sposobności publicznego omawiania najżywotniejszych spraw ogólnych, że zgłoszenia uczestników i prelegientów zaczną tłumnie wpływać na ręce komitetu, a zjazd stanie się początkiem nowej, pomyślniejszej epoki w dziejach instytucji kulturalnych.

I. Moszczeńska.

W dziennikach czeskich i w *Warszawskim Dniewniku* pojawiły się wieści o jakoby mającym się odbyć w Warszawie w ciągu miesiąca grudnia drugim zjeździe słowiańskim.

Nasza prasa codzienna podając to do wiadomości czytelników, wyraża zdziwienie, iż warszawskie „organy neoslawizmu" milczą w tym przedmiocie. Jeżeli do tych organów zaliczają i *Prawdę*, która w całym szeregu artykułów swe stanowisko do neoslawizmu jasno i wyczerpująco określiła, to milczenie jej tłumaczy się łatwo.

Wobec zastrzeżeń, jakie nasi delegaci w Pradze ze swej strony poczynili przy dyskusjach nad udziałem Polaków w zjazdach słowiańskich (Patrz sprawozdanie ze Zjazdu w 30 i 31 numerze *Prawdy*) zastrzeżeń, przyjętych przez całą delegację polską i wyrażonych w mowie Straszewicza, obecnych pogłosek nie możemy traktować poważnie, ani też do nich przywiązywać znaczenia.

Istotnie bowiem, jeżeli warunkiem uczestniczenia „w zamierzonem słowiańskiem zjednoczeniu wogóle, a w obecnym zjeździe w szczególności", było „uznanie wolności, równości i uszanowania odrębności narodowej wszystkich ludów słowiańskich", jeżeli — zgodnie ze słowami p. Straszewicza — nawet udział Polaków w wystawie moskiewskiej zależy od „zasadniczej zmiany warunków politycznych", [1]) jeżeli dalej postępowcy przy głosowaniu nad następną konferencją przygotowawczą w Petersburgu „zastrzegli, że niepodobna w danej chwili uchwalać czasu i miejsca", gdyż „niepodobna twierdzić, czy warunki polityczne zmienią się do tego czasu tak, aby umożliwić zwołanie narady w granicach państwa rosyjskiego" [2]) — to samo się przez się rozumie, że zwoływanie konferencji do Warszawy na miesiąc grudzień, wobec absolutnego braku symptomatów możliwej zmiany warunków politycznych, możemy traktować tylko jako fantastyczny pomysł zrodzony poza obrębem kół wtajemniczonych i odpowiedzialnych.

Trudno przypuścić nawet, aby warszawscy uczestnicy konferencji praskich, którym z natury rzeczy przypadłaby rola gospodarzy, ryzykowali zapraszanie delegatów pobratymczych ludów na narady w mieście, w którem „przepisy obowiązujące" krępowałyby ich swobodę słowa.

W powyżej cytowanych numerach *Prawdy* (Nr. 31 str. 378) czytamy: „Chyba bowiem nikt nie zwoła konferencji do Petersburga, jeśli do tego czasu nie będą zniesione stany wojenne, ochrony" i t. p.

Dla *Warszawskiego Dniewnika* względy te mogą być obojętne; nie przypuszczamy jednak, by je lekceważył komitet wykonawczy, który bądź co bądź chyba nie z *Warsz. Dniewnika* czerpie natchnienie. Przekonanie to nasze poświadcza właśnie fakt, że nikt z polskich inicjatorów słowiańskiego braterstwa ani tej propozycji nie stawia, ani jej nie dyskutuje.

Oto jak się tłumaczy nasze dotychczasowe milczenie.

R.

[1]) „Prawda" Nr. 30, str. 367.

[2]) „Prawda" Nr. 31, str. 378.

Od komitetu jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego.

Osoby życzliwe proponują zwiększyć fundusz jubileuszowy za pomocą różnych przedsięwzięć dochodowych i żądają od nas dowodów uwierzytelniających na zbieranie składek. Za dobrą wolę i gotowość współdziałania najuprzejmiej dziękujemy i mamy zaszczyt zawiadomić, że z programu zadań naszych wyłączyliśmy: 1) wszelkie wydawnictwa jubileuszowe, 2) sprzedaż przedmiotów mających upamiętniać jubileusz, 3) zbieranie pieniędzy na listy składek.

Pragniemy, aby szkoła imienia Al. Świętochowskiego, powstała z ofiar osób nie uproszonych lecz przekonanych o potrzebie instytucji tego typu. Ofiary przyjmujemy z wdzięcznością i prosimy wnosić je bądź bezpośrednio na nasze ręce w biurze przy ulicy Zgoda Nr. 8 m. 9, bądź przez pisma: *Kurjer Warszawski*, *Nową Gazetę*, i *Prawdę*, których redakcje łaskawie podjęły się przyjmowania wpływów pieniężnych.

Komitet organizacyjny.

Uniwersytet dla Wszystkich podaje nam następującą wzmiankę z prośbą o umieszczenie:

Jednocześnie z otwarciem kursu ogólnych zasad wychowania rozpoczną się wykłady z 2-giej części pedagogiki p. t. „Technika wychowania" dla słuchaczy, ktorzy już przeszli cz. I ą.

Serja I. Rozwijanie sprawności ogólnej (w 20 wykładach). 1. Określenie przedmiotu, jego zakres, podstawy i metoda. 2. Oddychanie. Odzież. Pielęgnowanie skóry. Sen. Mieszkanie. Praca i wypoczynek. 3. Ćwiczenia naturalne i sztuczne. 4. Główne zasady fizjologji ćwiczeń fizycznych. 5. Istota i znaczenie gimnastyki niemieckiej i szwedzkiej. 6, 7 i 8. Zabawy dziecięce, ich charakterystyka, pochodzenie, znaczenie fizjologiczne i moralne. Rodzaje zabaw i ich ocena. 9 i 10. Gry i zabawy ruchowe, ich dzieje, klasyfikacja i wartość ćwiczebna. Udział wychowawców w zabawie. Gry w szkołach i ogrodach publicznych. Urządzanie placów do gier ruchowych. 11. Zabawy ujemnie działające pod względem umysłowym i moralnym. 12 i 13. Tańce, oraz ich znaczenie biologiczne, społeczne i wychowawcze. Tańce dzieci i młodzieży. 14. Pływanie, łyżwiarstwo, wycieczki i t. p. 15. Praca ręczna w wychowaniu, jej dzieje, rodzaje i ocena. Roboty ręczne w pierwszym dzieciństwie. Pierwsze prace. 16. Slöjd, jego istota, metoda, ocena i stosowanie. 17. Zajęcia ogrodnicze i rolnicze. Roboty ziemne. 18. Lepienie z gliny. Szycie, wyplatanie i inne roboty. 19 i 20. Zabawy i praca ręczna w różnych okresach życia dziecka. Ćwiczenia fizyczne chłopców i dziewcząt.

W dalszym ciągu wykłady obejmą dokończenie techniki wychowania: wykształcenie umysłowe, moralne i estetyczne. Zapisy na wykłady powyższe przyjmuje Biuro Zarządu Uniw. dla Wszystkich (Wspólna 26 m. 1) w dni powszednie od 11—1 i od 6—8, w świąteczne od 11—1. Koszta kursu wynoszą dla członków Uniwersytetu rb. 4 za 20 wykładów, dla osób postronnych rb. 5.

Wykłady odbywać się będą w godzinach wieczornych dwa razy tygodniowo.

LITERATURA I SZTUKA.

Daniel Śliwicki: **Twórczość literacka Stanisława Wyspiańskiego.** Lublin, druk Bolesława Drue. 1908, str. 239.

Prawdziwe uznanie należy się Śliwickiemu za jego książkę o Wyspiańskim. Nie jest to głębsze studjum duszy wielkiego poety, ani też próba syntezy jego twórczości, lecz sumienne, staranne, uczciwe i szczerego pjetyzmu pełne przedstawienie i rozbiór dzieł autora „Wyzwolenia". Śliwicki nietylko wczytywał się w poematy i dramaty Wyspiańskiego (a znać, że czytał je sercem), lecz poznać usiłował literaturę przedmiotu, dziś już dość obszerną.

Książka ta nabiera tym większego znaczenia, że pisana jest w sposób każdemu dostępny, nieledwie popularny. A choć z wielu poglądami Śliwickiego zgodzićby się trudno, nie sposób mu odmówić ani indywidualności sądu, ani trafnej naogół interpretacji zawiłych wielokrotnie utworów. Ogólny sąd autora o Wyspiańskim należy do najlepszych stron książki, żałuje się wprost, że jest za krótki i za mało pogłębiony. Świetnie charakteryzuje Śliwicki „bluźnierstwo" autora Wesela.

„Bluźnierstwo poety było tym tragiczniejsze, iż było bluźnierstwem bezmiernej miłości, bluźnierstwem bezmiernego, beznadziejnego smutku, które w ten chociaż sposób chciało „dobyć z piersi krzyku, który byłby nasz, z tego pokolenia".

Doskonale odczuł i zrozumiał Śliwicki „Wyzwolenie", najszerzej też je i najgłębiej omówił.

Szkoda jednak, że Daniel Śliwicki, który jest sam zdolnym poetą i świetnym tłumaczem, jest zarazem narodowo-demokratycznym dziennikarzem i w tym ostatnim charakterze nie umiał się powstrzymać od takiej interpretacji scen z maskami.

„Nacjonalizm, dobrze rozumiany, daje się w zupełności pogodzić z humanitaryzmem. Wyspiański czuje, iż my otoczeni zewsząd wrogami, nie możemy nie być nacjonalistami, iż musimy strzec naszej odrębności i wyzbyć się w praktyce mrzonek o wszechmiłości, której tak piękne dowody wciąż czujemy na naszej skórze"...

...Nie, tych słów nie mówi już Śliwicki—poeta, Śliwicki szczery wielbiciel i sumienny interpretator dzieł wielkiego poety; tymi słowy przemawia dziennikarz partyjny!

I jak to pogodzić z godnym głębszego zupamiętania zdaniem Wyspiańskiego, że „wstrętnym jest dlań robienie polskości na każdym kroku"?—tego mi pan Śliwicki nie wytłumaczy chyba.

W podanej — obszernej bardzo — hibljografji książek i rozpraw o twórczości Wyspiańskiego, nie odnalazłem kilku mi znanych, uderzył mnie szczególniej brak wzmianki o świetnie napisanej rozprawie M. Biernackiego. Nie przypuszczam, aby jej Śliwicki nie znał, bo wychodziła w *Kurjerze* lubelskim współcześnie z jego studjum, które się wówczas w mikroskopijnych i zabijających możność logicznego czytania dawkach ukazywało w *Ziemi Lubelskiej*. Nie chcę go też posądzać o rozmyślne pominięcie takowej ze względów stronniczych, zapewne jest to tylko nieuwaga.

Język Śliwickiego jest czysty, obrazowy i potoczysty. Szkoda tylko, że od czasu do czasu autor używa może bardzo poprawnych, ale niemile brzmiących określeń, jak „wnętliwy talent" (str. 123).

Pomijając wyżej wskazane braki książki i ohydnie niestaranne wydanie, przyznać trzeba, że studjum Śliwickiego należy do rzędu książek wysoce wartościowych i prawdziwie pożytecznych.

Jan Iwański.

Poeta współczesnej Chorwacji. [1]

W ostatnim dwudziestopięcioleciu XIX wieku, kiedy Chorwacja była ofiarą prześladowań ze strony rządu austrjackiego i szowinistycznych napadów Madziarskich—naród począł poważnie zastanawiać się nad ratunkiem, rozumiejąc, że tylko wytrwała praca kulturalna i świadome dążenie do poprawy stosunków wewnętrznych ocali społeczeństwo od niechybnej zatraty. Hasło to zostało przyjęte jednomyślnie, lecz środki prowadzące do celu stały się przedmiotem waśni i sporów, które oczywiście jaskrawo odbiły się we współczesnej literaturze. Na tle różnorodnych kierunków i prądów chwili ozwał się głos człowieka o dużym talencie, który niby dzwon spiżowy zbudził obezwładnione brakiem wiary w siebie i świadomości swych celów—masy. Rzucił on śmiało i apodyktycznie hasło egoizmu narodowego. Jakby pod wpływem iskry elektrycznej zapaliły się serca i głowy a wkoło rozbrzmiał okrzyk „Chorwacja!" powtarzany za mistrzem prawie przez cały ogół narodu—on sam zaś d-r A. Starcević został przodownikiem idei radykalno-narodowej, która na czas jakiś owładnęła życiem społecznym a nawet towarzyskim.

Hasło to jednak, samo w sobie ciasne i płytkie, głoszone z całym nieodłącznym aparatem frazeologji i krzykactwa, nie mogło zadowolić umysłów głębszych: zaczęła się polemika słowem i piórem. Szowiniści upojeni powodzeniem u mas odpowiadali na wszelkie protesty gradem obelg i potwarzy, nazywając swych przeciwników zdrajcami ojczyzny. Oczywiście terenem tej walki staje się piśmiennictwo: prasa umieszcza artykuły, ziejące nienawiścią stronniczą—a najpoważniejsze pisma nie wahają się drukować na swych łamach brudnych insynuacji i paszkwilów; czasopisma stają się narzędziami w ręku przygodnych wodzów narodu, którzy dziś wyniesieni kaprysem losu na to stanowisko—jutro ustąpić muszą jeszcze śmielszym i mniej rachującym się z etyką i prawdą krzykaczom.

Wśród tego chaosu i upadku, pojawił się niby jutrzenka lepszej przyszłości niezwykłej miary publicysta i poeta Senoa, który rzucając swemu narodowi całe snopy dźwięcznych i podniosłych poezji, to znów karząc go surowo w swych powieściach i feljetonach—nawoływać począł rozgorączkowane masy do opamiętania. Na szczęście głos ten nie pozostał bez echa: nie zdołały go stłumić potworne insynuacje partji radykalno-narodowej: barwne i gorące słowa uciszyły rozterkę umysłów i rozjaśniły mroki nienawiści i zaślepienia.

Jest on też jakby zapowiedzią przyjścia jeszcze potężniejszego talentu—Kranjčevića, którym do dziś dnia szczyci się Chorwacja i słusznie, gdyż był istotnie twórcą „nowego życia" nietylko w literaturze, ale i w społeczeństwie chorwackim.

Kranjčević urodził się w 1865 roku na Przymorzu Chorwackim. Oryginalna przyroda tej krainy, smutna i dzika ze swym ludem pięknym i szlachetnym a odzianym w czarne, niby żałobne szaty, wiecznie w ciężkiej rybackiej pracy pogrążonym — wycisnęła niezatarte piętno na duszy poety. Twórczość jego posiada potęgę piętrzących się fal morza i głębię jego bezdenną—a pieśni piękno i tęsknotę ludu, z których sam pochodzi.

Szczegółów z lat młodości poety posiadamy niewiele—sam nigdy prawie o niej nie wspomina: wiemy tylko, że zamierzał poświęcić się stanowi duchownemu, w którym zapewne szukał urzeczywistnienia swych altruistycznych marzeń poświęcenia się dla ludzkości. Tu też spotkał go pierwszy ciężki zawód życiowy: na drodze tej zamiast prawdy i ideału znalazł myśl skrępowaną w kajdany scholastycznych formułek — hypokryzję i sparodjowane pojęcie etyki. Wyrazem tego przełomu życiowego jest jeden z pierwszych utworów poety „U katakumbah".

Wyszedszy z seminarjum Kranjčević został wiejskim nauczycielem i jako taki, walcząc z niedostatkiem poświęcił się całkowicie pracy dla oświaty ludu, badając jego duszę i pracę; z tej epoki datuje się wiele cennych obserwacji życiowych, które później dopiero skrystalizowały się w umyśle poety, kiedy opiewał ciężkie warunki bytu ludu roboczego, jego krzywdy i bóle. Dopiero w 1899 przeniósł się do Sarajewa i został współpracownikiem potem zaś redaktorem *Nady*. Po zwinięciu tego pisma, rząd bośniacki przeznaczył poecie dożywotnią pensję, aby mógł w zupełności oddać się pracy literackiej — w ostatnich zaś czasach oddano mu w zarząd szkołę handlową, którą dotychczas prowadzi.

Miłość — ta prządka czarowna, „wplatająca złote nici do szarej przędzy żywota" zjawiła się dla Kranjčevića jako krótkotrwały uśmiech losu, szybko przebrzmiały w zgrzytach zawodu i rozczarowania, jak się to jednak stało — nie o tem nie wiadomo. Czasem tylko w przystępie bólu, nad którym zapanować nie może, wspomina on tęczowe dnie złudzeń, które już nigdy nie wrócą. Potym zaś gdy przyszedł wiek dojrzały—umysł poety był zbyt pochłonięty zagadnieniami społecznymi, swoje egoistyczne osobiste wrażenia wcisnął w głąb duszy i nigdy o nich nie wspominał.

W krainę ideału uniosło Kranjčevića czytanie dzieł Senoi, dla którego miał wielki podziw i uznanie, jak to widzimy w wierszu „Uspomeni Augusta Senoi". On to pierwszy rzucił w duszę młodzieńca zarzewie wszechludzkiej miłości i ukochanie wyższych celów życia—odtąd tę płomienną pochodnię dzierży stale w swej dłoni, ku rozświeceniu mózgów swego narodu.

W pierwszych utworach Kranjčevića zasadniczym tonem jest miłość ojczyzny i głębokie odczucie jej niewoli,—dalekim będąc od szowinizmu uczucie to stanowi niejako podłoże do szerszych, głębszych tematów, które w przyszłości śmiało podejmować będzie.

Tymczasem jako młodzieniec rzuca snopy kwiecia i wije wieńce wawrzynu nad grobami bohaterów chorwackiej ziemi — a tę żałobną pielgrzymkę po cmentarzach świetnej przeszłości swego kraju kończy „Pieśnią do Wolności", wołając w niej: „Ach zejdź kochanko na ten naród mój i na te łkania niewolniczych łez, promienie roztocz błogosławieństw swych—Wolności święta, jam jest prorok twój!"

Utwór ten posiada duże podobieństwo do „Ody do młodości" Mickiewicza, jak również przypomina „Pieśń legjonu" Słowackiego, oraz modlitwę Konrada z „Wyzwolenia".

Dziwnym zbiegiem okoliczności, na tę samą chwilę przypada zainteresowanie się polską literaturą w Chorwacji i odwrotnie—w prasie polskiej pojawiają się artykuły o piśmiennictwie chorwackim. Czasopismo „Vienac" umieszcza cały szereg tłumaczeń Malczewskiego, Krasińskiego i Mickiewicza. Możliwym więc jest, że chciwy wiedzy umysł młodego poety spotkał się z natchnionymi strofami naszego wieszcza, które znalazły żywy oddźwięk w jego wrażliwej duszy i wywołały pewne podobieństwo myślowe, które ujawniło się również w wierszu „Hrwatskoj majci" bardzo przypominającym wiersz „Do matki Polki".

Stwierdzając to pokrewieństwo duchowe, musimy jednak szukać jego przyczyn nie w naśladownictwie, bo o nim mowy nawet być nie może — lecz w głębszych, donioślejszych powodach: brzęk kajdan budzi zupełnie takie same echa w duszach ludzkich, bez względu na ich narodowość, krzyk buntu jest tylko jeden, wielki — wszechludzki.

Kranjčević nie waha się na równi z naszą Konopnicką schodzić na samo dno nędzy — dla otarcia łez tym wzgardzonym, którzy w pocie czoła jak mówi: „karmią się gorzkim chlebem od młodu". W przepięknym wierszu „Radniku" (Do Robotnika) porzuca on pieściwe rymowane strofy, ta forma bowiem nie wydaje mu się dość silną—tworzy więc formę własną rytmiczną, a potężną niby uderzenie młotów. Padają słowa grzmoty, słowa błyskawice — brzmi dziki chychot ironji i sarkania nad ciasnotą i egoizmem ludzkich mózgów nie rozumiejących odwiecznej krzywdy mas robotniczych; drżą w tych strofach łzy ciężkie jak ołów—łzy buntu, co pierść rozrywa, lecz zarazem zagrzewa do czynu—do walki o sprawiedliwość i swobodę.

Odtąd datuje się stanowczy przełom w pojęciach Kranjčevića: z tematów patryjotycznouczuciowych przechodzi w nutę głębszą—wszechludzkich cierpień, wszechludzkich ideałów. Jego wielki duch pojął, że przyszłość ludów spoczywa w dłoniach czarnych od pracy; te postacie o uznojonym obliczu, jakby ze śpiżu ukute, a w ogniu cierpienia zahartowane, staną muszą do walki—i zwyciężyć muszą.

Dalsze utwory Kranjčevića już nie odstępują od raz obranej drogi, lecz z czasem stają się jeszcze głębsze i bardziej porywające. Poemat „Resurectio" jest apoteozą rewolucji francuskiej. Przeczysta w linji postać Chrystusa staje na czele ludu na barykadach, jako bojownik za wolność i prawdę. Obala świat stary, pełen fałszu i przesądów i wyprowadza ludzkość na jasne drogi „nowego życia".

Takie wolnomyślne komentowanie postaci Chrystusa oburzyło w najwyższym stopniu klerykałów; i nic dziwnego. Jakże mogły pojąć całe piękno tego obrazu, umysły zacieśnione formalistyką tradycji—sfanatyzowane w swym konserwatyzmie skostniałe mózgi? Posypały się na głowę dawnego seminarzysty przekleństwa nazywając go heretykiem i odstępcą. A jednak Kranjčević ani na chwilę nie neguje istnienia Boga, nazywa go tylko „Wszechduchem" i uważa za symbol najwyższej dobroci i mądrości, nie krępującej niczym ducha ludzkiego, w jego wzlotach ku wiedzy i prawdzie.

Wyraz walki zła i dobra daje nam poeta w swy Oratorjum w 3-ch odsłonach „Prvi grijeh (pierwszy grzech). Lucyfer jako uosobnienie ciemności wraz z gronem złośliwych demonów (nader oryginalnie pojętych jako „Głód, Zbrodnia, Niesprawiedliwość, Namiętność i Szaleństwo) wywodzi pierwszych ludzi na śliskie drogi grzechu—nieszczęścia (dwa te pojęcia łączą się w jedno). Wygnańcy z Raju długo błąkają się wśród cierpień i ciemności — zbawieni wreszcie przez alegoryczny „Chór Gienjuszów" w postaci robotników, ukazujących piewszym ludziom na nieboskłonie ozłoconym pierwszymi promieniami wschodzącego słońca—godła *pracy* okrzykiem: „Tędy droga do Raju" „Na czyn, na czyn, do pracy" kończy się ten poemat, cokolwiek fragmentaryczny i niewykończony—lecz bardzo silny, a mający duże znaczenie, jako ostateczny wyraz filozofji wieszcza.

[1]) Studja literackie: „Silvija Strachomir Kranjcević". Autor Tadeusz Grabowski.

W całej twórczości Kranjčevića znać wybitny wpływ filozofji Comte'a. Ten mędrzec—socjolog apoteozujący pracę, wskazujący ludzkości drogę odrodzenia społeczeństw na zasadach socjalistycznych—wycisnął potężne piętno na wszystkie wybitniejsze umysły danej epoki. Nic więc dziwnego, że jego system filozoficzny przyjął Kranjčević jako podkład do swej twórczości tak bardzo odpowiedni dla jego wrażliwej a szlachetnego altruizmu pełnej duchowości.

Przyrodę Kranjčević pojmuje panteistycznie nazywa ją „Sveduhem" czyli odwieczna siłą, która pcha świat wciąż naprzód — wywołuje zamieranie i odradzanie się istot. Człowiek w jego oczach, to maleńka cząsteczka matki Przyrody — z niej się rodzi i do niej po śmierci powraca; w ten sposób pojmuje poeta wieczność istnienia. Czasem jednak i przeciw niej powstaje—za jej obojętność na cierpienia ludzkie: wtedy na jego lutni zrywają się dzikie zgrzyty, jako wyraz szarpiącego się w straszliwym buncie ducha. I w tym więc brak Kranjčevićowi jednolitości.

Nie mniej jest on jednym z najwybitniejszych duchów ostatnich czasów. Przedziwna rozmaitość tematów, barwność i siła opisów, wielka rozmaitość formy czysto indywidualnie stworzonej — obok niespożytego bogactwa uczuć i fantazji—oto główne cechy jego potężnego talentu.

Jest on nietylko filozofem-poetą — jest prorokiem społecznym. Duszą całą pragnie zepchnąć ludzkość z mrocznych i ciasnych dróg egoizmu na jasne szlaki ideału. Hasła jego: sprawiedliwość, prawda, miłość—swoboda i chleb dla wszystkich. W ich urzeczywistnienin widzi tęczową przyszłość ludów. A sposób osiągnięcia ich zamyka w słowach:

„Myśl ludzka, ochrzczona w Wolności, ani się modli, ani prosi — ona wie, że jest potęgą".

Anna Roszkowska.

Teatr Mały: **„Dla honoru"**. Sztuka w 4-ch odsłonach *Leo Belmonta.*

Gdyby mi pewnego dnia powiedziano, że p. Belmont wynalazł nowy system aeroplanu i z jednego z placów Warszawy ma zamiar puścić się w wędrówkę po obłokach, nie zdziwiłbym się, przeciwnie, może nawet przez chwilę wierzyłbym, że jego statek powietrzny będzie posiadał pewną tendencję ku wzlotom, a jeśli nawet pęknie kiedyś, wzbiwszy się na kilka metrów nad ziemię, to nie przez jakieś zasadnicze wady konstrukcji, lecz, dajmy na to, dlatego, że p. Belmont w pośpiechu zapomni poprzykręcać mocniej śruby i śrubki, lub chcąc zapalić papierosa, zapuści ogień i spowoduje straszny, niebywały, nadzwyczajny wybuch, od którego połowa miasta będzie kichała przez pół dnia.

Pan Belmont nie zbudował dotąd aeroplanu, ale przez trzy wieczory z rzędu pokazywał w Teatrze Małym bombę własnego wyrobu, która przez cztery odsłony groziła wybuchem, przez kiepsko poklejone ścianki raz w raz wyrzucała kłęby nie tyle groźnego, ile przykrego gazu, aż wreszcie pękła — za sceną — „w pokoju — na klamce..."

Sztuka p. Belmonta nosi tytuł: „Dla honoru", ale równie dobrze mogła by się nazywać: „Nadzwyczajne przygody Janka-kolczykarza", albo „Trup w koszu, czyli Romans pani prokuratorowej", a wtedy tytuł odpowiadałby nawet lepiej treści i bliżej określał gatunek literacki, do którego sztuka p. Belmonta należy.

Często bardzo, walcząc z jakimś przeciwnikiem, upodabniamy się do niego, i p. Belmont, który z takim przekonaniem zwalczał i ośmieszał Sherlockomanję, pozazdrościł wreszcie laurów Conan Doyle'owi i postanowił go zaćmić i prześcignąć w bogactwie wzruszeń, efektów i motywów. Conan Doyle ze sztuki p. Belmonta byłby zrobił przynajmniej trzy historje; p. Belmont zebrał je wszystkie razem i nie zrobił ani jednej historji.

Pewien poeta chciał raz spędzić kilka godzin na słodkiem tete a tete z pewną prokuratorową, ale los zdarzył, że podówczas gościł u swej mamy, służącej w domu poety, synalek jej — Janek, który chwilowo przerwał ciężkie roboty i bez urlopu udał się w odwiedziny do swoich, a przy tej okazji nie pogardził by zrobieniem jakiegoś dobrego interesu. Gdy więc koło godziny trzeciej piękna pani, chcąc się udać na dworzec kolejowy, przechodziła przez kuchnię, spotkała się nagle oko w oko ze zbirem, który zaproponował jej, by mu oddała kolczyki, portmonetkę i inne niepotrzebne drobiazgi. Zalękniona dama spełniła jego żądanie, ale pomimo to krwiożerczy bandyta nie puszcza swej ofiary, rzuca się na nią, a gdy na tę scenę wpada poeta, jednym uderzeniem pięści powala go trupem na ziemię... Tableau i moment tragiczny: trup leży na ziemi, piękna pani mdleje, stara służąca zawodzi, Antek pakuje trupa do kosza i, by ukryć swą zbrodnię, chce go wysłać koleją...

Na tym nie kończy się jednak sztuka i na scenę wchodzi teraz mąż pięknej pani, który prowadzi następnie śledztwo w sprawie tajemniczego kosza z cuchnącą już zawartością. Jest on na tropie złoczyńcy, trzyma go już nawet pod kluczem, ale nie posiada jeszcze dokumentów, które by go dostatecznie obciążały. Pan prokurator jest jednak kontent i chwali się swym węchem śledczym przed żoną, która od tygodnia, to jest od powrotu z przejażdżki w rodzinne strony jest czegoś smutna i cierpiąca. Rozmowa z mężem nudzi ją i denerwuje, ale, gdy p. prokurator zaczyna jej opowiadać o sprawie, piękna pani pada przed swym mężem na kolana, wyznaje mu całą prawdę i żąda od niego, by ją aresztował i oskarżył. Pan prokurator nie ma jednak ochoty robić skandalu, tymbardziej, że jest już pomszczony i uwodziciel nie żyje; każe więc milczeć swej żonie — dla ocalenia honoru! Wtedy piękna pani dostaje histerycznego napadu śmiechu, wybiega do swego pokoju i wiesza się na klamce.

Są dwa momenty w sztuce, które same przez się mogłyby być punktem wyjścia dla dwuch bardzo ciekawych powikłań dramatycznych, gdyby były należycie opracowane i oświetlone. Ten bandyta, który bynajmniej nie jest zbrodniarzem z urodzenia, ale staje się nim siłą wypadków, czy ta kobieta, która nie chce przyjąć przebaczenia za cenę milczenia, mogliby zainteresować, a nawet wzruszyć widza, gdyby autor dostatecznie był ich pogłębił i postawił w odpowiednim otoczeniu, ale p. Belmont obok zupełnego lekceważenia sobie najelementarniejszych wymagań sceny, goni raczej w swej sztuce za tanim efektem, niż za prawdziwym napięciem tragicznym, zamiast akcji daje luźne „odsłony" nie powiązane zupełnie ze sobą, a zamiast djalogów każe swym bohaterom recytować na scenie sążniste feljetony, pozbawione nawet tej werwy, którą on czasem umie natchnąć swe artykuły publicystyczne, nowele, czy humoreski.

Artyści Teatru Małego, którzy, doprawdy, zasługują na to, by im dawano nieco trudniejsze i wdzięczniejsze zadania do spełnienia, robią w sztuce p. Belmonta wrażenie poważnej orkiestry, której kapryśny dyrygient kazałby nagle grać „wlazł kotek na płotek i mruga". Męczą się, cieniują, chcieliby duszę wlać w głupiutką melodję, ale piosenka uchyla się przed wszelkimi zakusami wyższej kultury i z pudła katarynki, czy ze strun czcigodnych Stradivarjusów wiecznie tym samym, swojskim podryguje rytmem: wlazł kotek na płotek i mruga... Ale p. Gawalewicz, który w ostatnich czasach wytrwale kollekcjonuje wszelkie curiosa w rodzaju „Klubu Samobójców" i „Bohaterów ulicy", gdy na niwie ojczystej znalazł taką perłę jak „Dla honoru" nie mógł przecież obojętnie przejść koło niej...

Stefan Gacki.

Teatr Letni: **„Chrząszcze"**. Komedja w 3 ch aktach Brieux. Przekład J. Mrozowskiej.

Nazwisko autora chyba było jedynym powodem tego, że „Chrząszcze" weszły do repertuaru Teatru Letniego—nie zaś Nowego, gdzie byłyby one bardziej na swoim miejscu. Od pierwszej sceny sztuki widz jest zdziwiony, gdyż znajduje się w środowisku i wogóle w sferze wrażeń i myśli, które dotąd były obce autorowi głośnych *„Avaries"* i *„Robe rouge"*. Brieux był dotąd jedynym we Francji dostawcą tak zwanych pièces à thèse; każdy z jego utworów był skierowany przeciwko czemuś, mieścił w sobie projekt jakiegoś nowego prawa, czy reformy; posiadał tendencję społeczną, w imię prawdy i sprawiedliwości nie cofał się przed poruszaniem spraw, które jako zbyt drażliwe, były dotąd pomijane milczeniem i zapisane na index estetyczny. Panu Brieux musiała się jednak w końcu sprzykrzyć ta rola enfant terrible, czy bociana czyszczącego świat, lub może wychodząc z tego samego społecznego stanowiska, ocenił on, że śmiech jest bądź co bądź najzdrowszą strawą ludzkości i w przystępie dobrego humoru napisał wesołą komedję, którą już tylko jeden krok dzieli od zwyczajnej francuskiej farsy.

„Chrząszcze" nie posiadają nawet treści, którą możnaby i wartoby było opowiedzieć; są one zlepkiem zręcznie powiązanych scen komicznych, które rozpoczynają się wraz z podniesieniem kurtyny, a kończyć się mogą w każdej chwili, gdy autor oceni, że dał już dość konceptów na jeden wieczór. „Chrząszcze" — to obrazek z życia tak zwanego faux ménage, który przez cały dzień skacze sobie do oczu, żyje pogróżkami zerwania, pod wieczór zaczyna budować mosty pojednania, by wreszcie w nocy we wspólnym, ciepłym spocząć łóżku i tym gorętszymi pieszczotami zatrzeć burzliwe zdarzenia dnia i tak do następnego ranka. Kilka dni takiego życia dwojga ludzi urozmaiconego czasami chorobą pieska, to znów wizytą przyjaciela, czy przyjaciółki, komiczną sceną z concierge'em, czy kłótnią z sąsiadami—oto cała treść „Chrząszczów".

Jest to cechą charakterystyczną farsy, że sceny i sytuacje nie wypływają w niej z pewnego ogólnego założenia, ani też nie dążą do żadnego z góry zakreślonego rozwiązania, lecz wyłaniają się jedne z drugich. Autor musi je ciągle wynajdywać i podsuwać, a już od zręczności jego zależy, by je choć trochę powiązać i urozmaicić. Cechę tę posiadają „Chrząszcze" i dlatego nie są one komedją, choć autor tak je nazywa.

Jednak sztuka Brieux posiada i kilka szczegółów, które nie pozwalają również nazwać ją krótko—farsą. Błazeństwa, których kulminacyjnym punktem jest przewracanie stołków i bicie się po buzi, zajmują i tu pierwsze miejsce, postacie zbyt często wpadają w karykaturę, ale autor umiał wpleść w swą sztukę coś, co jak koloryt lokalny w obrazie, stanowić może w utworze dramatycznym jego zabarwienie, może mu dawać ten specjalny ton, który sprawia, że widz odczuwa poza ludźmi przedstawiony-

mi na scenie, poza sceną samą jakieś środowisko, które tym samym oddycha powietrzem i według tych samych żyje form.

W „Chrząszczach” czuć Paryż i to nie dlatego, że w ciągu sztuki słyszymy ciągle nazwy ulic i bulwarów paryskich, że powiedziano nam, iż rzecz się dzieje o dwa kroki od Pont-Neuf, ale raczej dlatego, że w charakterze każdej postaci, w zwyczajach i upodobaniach tych ludzi, w całym ich życiu leży coś, co tylko tam, w tym wyraźnie zaznaczonym środowisku powstać mogło i znajduje swoje uzasadnienie. Pomimo przekładu, pomimo błędnej interpretacji niektórych ról zachowują „Chrząszcze” tu swój osobisty charakter nawet na scenie Teatru Letniego. Miałem wrażenie, że np. p. Pichorówna nie zna tego specjalnego typu paryskiego „trottin”, który kryje się ze swym dziewictwem, by nie odstraszyć starającego się o jej względy podtatusiałego lekkoducha; dziewictwo jest bądź co bądź żenującą okolicznością przy nawiązywaniu stosunku, bo być pierwszym to zawsze dość krępująca pozycja i pociąga za sobą zobowiązania, w które Paryżanin nie lubi się wdawać. Paryska „amie”, to nie wiedeńska „Süsses Mädel”; jest ona bardziej pewną siebie, śmielej gra rolę żony i uzurpuje sobie prawo do robienia piekła w domu, który uważa za swój, a władzę swą opiera na przeświadczeniu, że, jak mówi Karolina w „Chrząszczach”, wszyscy mężczyźni są świniami, a młodej i ładnej kobiecie żaden się nie oprze. Postać Karoliny jest tak starannie wycieniowana, że w innym otoczeniu i w innych sytuacjach niż te, które stanowią treść „Chrząszczów”, mogłaby ona stanowić o wartości całego utworu, gdy tymczasem tutaj ginie i banalnieje w powodzi tanich konceptów.

Stefan Gacki.

Przez pryzmat Prawdy.

Mamy w Warszawie instytucje, które dla samej sprawy, dla której do życia powołane zostały, mikroskopijnie mało robią, które natomiast jakby dla potwierdzenia słuszności przysłowia o dużo ryczącej krowie, bardzo dużo hałasu sprawiają.

Do instytucji ostatniego typu sprawiedliwość nakazuje zaliczyć w pierwszym rzędzie Filharmonję Warszawską, niby instytucję prywatną i spekulacyjną, a właściwie społeczną z chwilą, gdy śmiało wyciągnęła rękę po zapis publiczny, boć trudno przypuścić, aby Wessel przed śmiercią mylił się co do charakteru tej instytucji i identyfikował ją z jakąś prywatną garbarnią, fabryką nawozów sztucznych lub przedsiębiorstwem kinematograficznym.

Mizerne są jednak zasługi tej instytucji na polu popularyzacji muzyki, jeżeli zechcemy odróżniać utwory od jej wykonawców, sztukę czystą od sztuczek wirtuozoskich, sztukę od jej surrogatu, ma jednak ta instytucja dwie ciekawe rzeczy, mianowicie zarząd prowadzony na pasku przez swego oficjalistę—dyrektora i co ważniejsze posiada w swym artystycznym repertuarze administracyjnego dyrektora, którego czyny są tak wielkie, że rzucają cień nietylko na niego samego, ale i na milcząco posłuszny mu zarząd.

Rozumiem, że Filharmonja cicho zachowywać się nie może, minęłaby się bowiem ze swym zadaniem, rozumiem też, że aby być głośną, konieczną jej jest orkiestra, zgodzę się z kontrapunktycznego punktu widzenia że i dysharmonja na symfonię się składa, nie znaczy to jednak, aby wszelki hałas w Filharmonji był usprawiedliwiony, jak nie zgodzę się na to, aby trzepanie dywanów było muzyką. Niestety dyrektor Filharmonji jest innego zdania, co poczytuję raczej za mieszanie pojęć i aczkolwiek nie posiada w sobie czynnika gienjuszu ciągle hałasuje brutalnie, był już solistą w koncercie szopenowskim i widocznie mało mu było liścia bobkowego (laurowego), którym *Goniec* skronie jego uwieńczył, obecnie zaczął nowe solo ze swą orkiestrą, która jednak zagrała nie w tym takcie, jaki jej dyrektor wskazał, wyszła więc kakofonja przeraźliwa, rezultatem czego było rozpędzenie nieposłusznej orkiestry na cztery wiatry. Szczegóły tej sprawy znajdą ciekawi czytelnicy w *Gońcu, Nowej Gazecie, Przeglądzie Porannym* i innych pismach codziennych, nie kupczących swymi przekonaniami, zaznaczę tylko, że dziś stoimy w tej sprawie na martwym punkcie—p. dyrektor gwiżdże na orkiestrę, a 98 członków orkiestry gwiżdże unisono na p. dyrektora. Kto pierwszy ruszy na spotkanie przeciwnika, aby się z nim pogodzić, jest jeszcze zagadką, ja zaś opierając się na pewniku, że łatwiej Filharmonji znaleźć dyrektora niż orkiestrę, śmiem twierdzić, że to p. dyrektor, ratując bądź co bądź swą intratną posadę, pójdzie do Canossy.

To jednak nie wyczerpuje kwestji; godzi się zapytać p. dyrektora, poco właściwie na każdy sezon stara się dać publiczności poza częścią gimnastyczno-koncertową, jako „clou” jeszcze choć jeden mniej lub więcej ordynarny eksces. Na to aby co sezon narzucać swą osobę uwadze publicznej i kazać z odrazą mówić o sobie społeczeństwu, trzeba być bardzo niedelikatnym. Społeczeństwo ma zbyt wiele naprawdę doniosłych i pilnych spraw na swej głowie, jest więc conajmniej karygodną lekkomyślnością zabieranie mu czasu, osobą niedorosłą do stanowiska.

Nie znaczy to, że się ma wszelkie kwalifikacje na dyrektora, gdy się jest dość brutalnym, dość elastycznym w przekonaniach i dość ufnym w swą wielkość i nieomylność. Zamiast tych podejrzanej wartości zalet, trzeba mieć prawdziwe uzdolnienie do rządzenia, a mianowicie subtelność uczuć, smak, dar łagodzenia antagonizmów i kontrastów, umiejętność wychodzenia z ludźmi i bardzo ściśle i jasne kryterja etyczne. Te warunki tylko kultura ducha dać może, gdy na pierwsze każdy parobek się zdobędzie. Niech nie wystarcza p. dyrektorowi, że jest wielkim, boć i wielkość względnie do tego czy jest dodatnią i ujemną, szacunek lub pogardę wzbudzać będzie.

Sector.

Echa Prawdy.

Z przyjemnością odczytuję artykuły i dzieła pana Adolfa Nowaczyńskiego. Spotykam tam takie bogactwo języka polskiego, taką obfitość pięknie brzmiących wyrazów, tyle przecudnych zwrotów retorycznych, że zawsze skromną skarbnicę wiedzy swej wzbogacam o cały legjon nowych słów i nazwisk, których znaczenie i źródło odnajduję w encyklopedji Larousse'a (dużej!) i pojmuję, dzięki znajomości języków: łacińskiego, niemieckiego, francuskiego i rosyjskiego. Po odczytaniu w *Świecie* szeregu listów p. Nowaczyńskiego, zdającego sprawę z oględzin wystawy praskiej, winienem mu wdzięczność nie tylko za nowe twory językowe, ale i za spostrzeżenia zrobione w Pradze, ujęte w korespondencji, a ku pożytkowi czytelników wydrukowane w *Świecie.*

Spostrzeżenia te mają nie tyle charakter sprawozdawczy, ile moralizatorski. Pan N. jest zachwycony Czechami, wypisuje na ich cześć całe szpalty hymnów pochwalnych zrzadka tylko a z właściwą sobie umiejętnością ośmieszając nazwiska Vysmerdalów Vychlipalów i Vylizalów, jak również pokpiwając z „ogromnych, bardzo ciężkich mogących zgnieść na nic w razie czego coś delikatniejszego, rączek i niezgrabnych, ale krzepkich, hartownych i żylastych łydek i stopek” pań czeskich.

Ten drobny szczegół, uchwycony k'woli zadowolenia potrzeby wykazania jeszcze raz błyskotliwości stylu, nie przeszkadza bynajmniej, ani też nie osłabia głównej tendencji listów pana Nowaczyńskiego.

Oddany całkowicie oględzinom wystawy przemysłowej wrażliwy i spostrzegawczy umysł p. N. poddaje się z łatwością panującemu zazwyczaj na takich wystawach duchowi i ulegając jego wpływom, wysnuwa zgoła nieoczekiwane od pana Nowaczyńskiego wnioski.

Dawny słynny „sowizdrzał”, pogromca filisterstwa i kołtuństwa, staje się zapamiętałym czcicielem „solidarności narodowej” i zapalonym wyznawcą robienia pieniędzy. Znakomicie dobrany z superlatywów wszystkich języków zapas słów pochwalnych poświęca czeskiej klasie posiadającej, umiejącej w swym czasie „zgnieść żywioły rozstroju i zamętu” i przyuczyć tamtejszego robotnika do „pracowania uczciwie i bez fanaberji”, do trzeźwego patrzenia na „głupkowatą propagandę” i „psychozę terorystyczną”. Nadzwyczajny ład i porządek na wystawie praskiej upoważnia już p. N., znawcę krakowskich i warszawskich bruków, do moralizatorskich napomnień, skierowanych ku robotnikowi i inteligiencji polskiej. Zwłaszcza ostatnia otrzymuje tęgie razy za uleganie wpływom „krajowych cudzoziemców”, „naszych Gorkich”, naszych Gaponów”, „naszych Róż Luksemburskich” i hołdujących zgubnym kierunkom marksizmu, brandesizmu, bakunizmu i björnsenizmu (a może i sadyzmu?). „Naszych Gorkich”, „naszych Gaponów”?? Co to znaczy? o kim tu p. N. mówi? Ale idźmy dalej: „sentymentalni żółtodzioby”, „kontorsjoniści altruizmu”, „urodzeni heloci”, wszystko na gruncie polskim wyrosłe, a wierzące, że można się obejść bez walk plemiennych, wreszcie klasy posiadające, które „tchórzliwie” pozwoliły rozwijać się przez szereg lat tym kierunkom, dostają znowu zasłużoną chłostę, iż nie biorą przykładu z burżuazji czeskiej, która zgnieść je przykładnie i „zdusić” umiała. Hm... hm... p. N., zdaje się, zapomniał na chwilę dziejów naszych. Posuwając się dalej w pochwałach dla karności narodowej Czechów, każącej im uznawać „wszystko, co nie mówi językiem Nerudy i Kollara” za swoich wrogów, p. N. zdumiewająco przypomina nam aktualny „egoizm narodowy”, broniący się ciągle przed napaściami „sentymentalnych żółtodziobów”. Ale co ważniejsza, że wynosząc pod niebiosy „egoizm narodowy” Czechów, p. N. powołuje się na cesarza Aleksandra, Kromwella, Piotra Wielkiego i innych, zapominając, iż egoizm narodowy nie ma nic wspólnego z „bezgranicznym umiłowaniem swego plemienia” i że jest on szczególnym hamulcem kultury, że potrzebny jest raczej tylko reakcji i kołtuństwu, które niegdyś tak dzielnie siekł swym piórem ten sam p. Nowaczyński.

Ale p. N. obecnie pisuje w *Świecie*, wstąpił do obozu panów Balickich i apostołuje „egoizm narodowy”, „zdrowe” zasady, i brutalną siłę klas posiadających. Chcę uszanować te nowe jego przekonania, zwłaszcza gdy mu z nimi tak do twarzy, i zapytuję tylko szanownego moralistę, jakie ze swego nowego stanowiska (prócz rzuconych już wymyślań i szyderstw) dać nam raczy wskazówki. Tylko zastrzegam się przed pokazywaniem nam ku naśladowaniu Czechów, przynajmniej do czasu, gdy Polska pozostaje jeszcze w tak rażąco odmiennych warunkach. Tymczasem zaś

nie godzi się z wolnej Pragi czeskiej przesyłać pod naszym adresem takich napomnień, gdy nam tu, w Warszawie, ani mówić, ani działać tak jak tam, w Pradze, nie wolno.

Żądełko.

Wywczasy polityczne.

Zaledwie kilka dni dzieli nas od wielkiej uroczystości — święta kultury rosyjskiej — jubileuszu Tołstoja.

Zamilkły sfery polityczne i na łamach pism rosyjskich z niebywałą harmonją ukazują jedna za drugą publicystyczne—polityczne i literackie artykuły, w których autorzy doszukują się wciąż nowych i nowych zasług wielkiego—epokowego człowieka Rosji. Nawet pisma o ustalonym reakcyjnym kierunku politycznym i społecznym dostrajają się w zupełności do tej harmonji i nie wydają zwykłych zgrzytów reakcyjnych, zwykłego krakania.

Na tym wyjątkowo pogodnym niebie, jednak zatoczyła się chmura, która wielką cześć Rosji pokryje ciemnością, prostaczkom nie da nawet możności zrozumienia chwili, a gdzie doszła wiadomość, gdzie jest jakie takie uświadomienie, gdzie pytać się będą, co to za święto, że w kalendarzu go niema, tam spadnie gromowe słowo:

„Antychryst”.

Na bajkę to wygląda, a jednak straszna prawda! To kler tak prowadzi do szczęścia swój lud. Św. Synod już puścił w obieg tysiące cyrkularzy, w których poucza podwładny mu kler jak tłumaczyć ma ludowi, kto jest Tołstoj, kto są ci, co zebrali się go czcić i co czynić trzeba, by myślą już samą o tym heretyku i wrogu Bogu i ludzkości nic zgrzeszyć.

I lud będzie szczęśliwy... że nie zgrzeszył. Fale kultury mimo stawianych im tam wciskają się z nieubłaganą koniecznością do najdalszych zakątków niosąc przewrót umysłowy i moralny. Kler jeden zostaje zawsze sobą i, jakkolwiek już w dzisiejszych czasach jest śmieszny w swych uchwałach, gdy ich nie stosuje do życia (zjazd misjonarski lub u nas prefektów), nie ustępuje jednak i coraz więcej odgradza się od społeczeństwa uświadomionego, czego najwierniejszym obrazem jest Rosja i chwila dzisiejsza. „Tołstoj jest dureń literacki” wyrzekł jeden z dostojników Kościoła.

F. H.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 8 września.

Pruska *fides*, tak dobrze nam znana, pozyskała jeszcze jedną, nową a jaskrawą ilustrację w faktach ujawnionych na drugi dzień po mowie strasburskiej Wilhelma II.

Było to wysłanie przedstawiciela Niemiec w Marokku d-ra Vassel'a do boku zdobywcy tronu tego państwa i nota okólnikowa, wzywająca mocarstwa do szybkiego uznania Mulej Hafida.

Powyższe fakty znalazły głośny oddźwięk w całej Europie, lecz wrażenie było wszędzie arcynieprzyjazne dla Niemiec, nawet w Austrji i w opinji niezależnej w samym kraju. Najsilniej reagowała z początku Francja, nie zgadzając się głównie na notę, a punkt sporny da się streścić w pytaniu: Czy Europa ma uznać Mulej-Hafida za sultana zanim tenże oświadczy, iż akty konferencji w Algesiras uważa, jako obowiązujące dla siebie, czy też powinna wstrzymać się z wyraźną deklaracją do czasu, dopóki nowy sultan tego nie uczyni? Otóż Niemcy obstają za pierwszą tezą, Francja zaś broni drugiej.

Pomimo dysonansu z opinją europejską, zwłaszcza z francuską, niespodziewana interpelacja Niemiec w kwestji marokańskiej nie doprowadzi być może do drażliwszego starcia, jeżeli Niemcy nie zechcą trzymać się zainicjowanego przez siebie kursu do ostateczności. Francja bowiem okazuje usposobienie pojednawcze i nie odmawia uznania Mulej-Hafida sultanem, stawiając tylko przy tym swoje warunki, które właśnie opracowuje szczegółowo razem z Hiszpanją.

Francja idzie drogą z góry wytkniętą, bezwątpienia pod okiem Anglji, która niezmiernie zadowoloną się okazuje z postawy jaką zachowuje gabinet p. Clemenceau i podnosi wysoko poprawność całej dotychczasowej akcji francuskiej.

Tak czy owak rozwinie się dalej sprawa marokańska, w każdym razie świeży krok kancelarji berlińskiej będzie tylko stwierdzeniem nowej porażki dyplomatycznej jej dążeń i metod dyplomatycznych. Z odgłosów prasy austryjackiej i rosyjskiej wnosić już możemy o wyraźnej zmianie nastroju opinji miarodajnej u tych państw, które dotychczas jak wierne satelity krążyły około rydwanu niemieckiego.

Szczególniej widoczną jest zmiana frontu w Rosji, gdzie organ tak czujnie wietrzący kierunek polityki rządu, jak *Nowoje Wremia* zamieszcza teraz artykuły wprost wyszydzające „napastniczą akcję pruską w sprawie marokańskiej”.

Znaczy to, że w sferach, z których *Now. Wr.* czerpie natchnienie, uczucia przyjaźni dla Niemiec nie są w tej chwili tak silne jak to dawniej bywało i że wpływy angielskie zaznaczają się bądź co bądź coraz gruntowniej.

Trudno istotnie rozumieć lekkomyślność widoczną najnowszej akcji niemieckiej, gdy dla próżnego stwierdzenia swej mocy, nie zawahała się narażać tak cennej dla siebie przyjaźni rosyjskiej. Pamiętać musiała, że Rosja jest sprzymierzeńcem Francji i na utrzymaniu tego związku, państwo rosyjskie opiera dziś w znacznej części nadzieje swego finansowego i militarnego odrodzenia po nieszczęsnej wojnie mandżurskiej.

Konstelacja polityczna Europy, wogóle jest obecnie taka, iż zrywanie węzłów wyrobionych przez półtorawiekowe współżycie z Rosją nie może wyjść na korzyść nawet tak potężnemu państwu jak Niemcy. Tymczasem przytoczone artykuły petersburskiego dziennika zwiastują, że nad Newą zanosi się na zwrot w stosunkach z Niemcami, zwrot, który musi być uważany za największy tryumf polityki króla Edwarda, ale zarazem za najniebezpieczniejszy dla naszych sąsiadów z nad Szprewy. Mamy wszelkie powody do życzenia, aby ten prąd nie zwichnął się w Rosji, lecz rósł i poważniał jaknajwspanialej.

St. Pyrowicz.

KRONIKA.

— Politechnika warszawska na skutek polecenia p. Lagorio delegowanego do Warszawy z ramienia ministerjum handlu otwartą będzie w połowie października rb. i według oświadczenia tegoż delegata jakiekolwiek życzenia ogółu polskiego nie będą uwzględnione.

— Zgodnie z decyzją rady ministrów, nadal wszelkie postanowienia obowiązujące będą mogły być wydawane jedynie po uprzednim telegraficznym porozu- [illegible]

— Zjazd duchowieństwa prawosławnego w eparhji chełmskiej uchwalił domagać się, aby bank włościański nabywał majątki majorackie na Chełmszczyźnie i parcelował je wyłącznie pomiędzy włościan pochodzenia rosyjskiego

— Prof. Petrażycki wezwany został przez kuratora okręgu naukowego petersburskiego, by zobowiązał się piśmiennie wystąpić z partji K. D. W przeciwnym razie nakażą mu podać się do dymisji.

— W Kazaniu celem podniesienia poziomu moralnego uczniów szkół publicznych, rada, złożona z kuratora okręgu naukowego, dyrektorów i policmajstra postanowiła polecić policji czuwanie nad moralnością młodzieży w miejscach publicznych.

— Ministerjum oświaty otrzymało od kuratora odeskiego okręgu naukowego projekt otworzenia prawnego fakultetu przy odeskich żeńskich kursach naukowych.

— Związek muzyków czeskich, solidaryzując się z takimże związkiem polskim w jego zatargu z dyrekcją Filharmonji postanowił w żadne układy co do dostarczenia nowego zespołu orkiestrowego z tą instytucją nie wchodzić. Podobno p. Stanisław Barcewicz przyjął posadę skrzypka w nowoutworzonej orkiestrze, do której wejdą soliści z pośród strażaków warszawskich.

— Ministerjum oświaty projektuje zaproponowanie profesorom uniwersytetów, należących do partji lewicowych, aby ogłosili publicznie o swym wystąpieniu z tych partji lub też podali się do dymisji.

— Synod świętobliwy zabronił wiernym prawosławnej cerkwi brania udziału w obchodach na cześć Tołstoja z powodu przypadającego jubileuszu.

— Prezydjum Dumy państwowej zaczęło już odbywać posiedzenie pod przewodnictwem Chomiakowa w celach przygotowawczych do prac parlamentarnych.

— Dnia 4 września r. b. upłynęła 25-a rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych powieściopisarzy rosyjskich Iwana Turgienjewa. Mimo, że znakomity ten autor jest uwielbiany w Rosji za swe szlachetne humanitarne ideje, rocznica przeszła cicho, bo władze bardzo niechętnie dawały pozwolenia na odpowiednie obchody.

— Dnia 25 września odbędzie się w Łęczycy wystawa ogrodnicza, która potrwa dwa dni. Zgłoszenia przyjmuje Polski Związek Zawodowy Ogrodników i Koło okręgowe Łęczyckie.

— W Żółkwi w Galicji odbędą się dnia 29 b. m. uroczystości na cześć wielkiego hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego, z racji złożenia zwłok jego do nowego grobu.

— Sąd kasacyjny w Wiedniu zniósł wyrok sądu lwowskiego, skazujący Siczyńskiego na śmierć i polecił poddać go obserwacji lekarzy psychiatrów. Siczyński jest niezadowolony z tego postanowienia, gdyż nie chce uchodzić za warjata. W razie uznania go za zdrowego na umyśle, powtórna rozprawa sądowa odbyłaby się we Lwowie 1909 r.

— W Lublanie odbywa się zjazd dziennikarzy słowiańskich.

— W Moskwie w zarządzie Stowarzyszenia lekarzy rosyjskich dokonano dwukrotnej rewizji i zabrano wszystkie dokumenty, dotyczące niedawno zamkniętego komitetu pomocy dla głodnych.

— Zawiązał się wszechrosyjski trust metalurgiczny z kapitałem 150 miljonów rubli. Do składu trustu weszły między innymi zakłady Dnieprowskie, Aleksandrowskie, Juzowskie, Doniecko-Jurjewskie, Taganroskie, Prowidence, Carycyńskie, Makiejewskie i Kadjewskie, zatrudniające razem 37 tysięcy robotników.

— Król włoski Wiktor Emanuel II ma wkrótce odwiedzić cesarza Franciszka Józefa z okazji jubileuszu jego rządów. Dotychczas wzajemne wizyty tych panujących nie miały miejsca, ze względu na drażliwą sytuację Watykanu szczególniej w razie wizyty cesarza austryjackiego w Rzymie.

— Rządy Francji i Hiszpanji porozumiały się już całkowicie co do tekstu noty, odnoszącej się do uznania Mulej Hafida sultanem Marokka.

OFIARY.

Na Komitet jubileuszowy Al. Świętochowskiego: Jan Grabowski z Lublina rb. 3.

Do numeru niniejszego dołączamy prospekt „Nowości Literackich”.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.